

MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

SEZON 1
ODCINEK 6



**Influencerka, która
spadła ze schodów**

IELKA LITERA



MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA



**Influencerka, która
spadła ze schodów**

Projekt graficzny okładki i komiks
Porysunki/*Magda Danaj*

Redaktor prowadząca
Monika Koch

Redakcja
Berenika Wilczyńska

Korekta
Teresa Zielińska
Elżbieta Łanik

Copyright © by Marta Guzowska i Leszek Talko, 2022
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

ISBN 978-83-8032-849-5



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Konwersja: eLitera s.c.



odwiedź nas na

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 1

Wejście do wielkiego dworu prowadziło przez ogromne marmurowe schody, z obu stron obramowane kamiennymi lwami (naturalnej wielkości). Za wielkim oknem, z którego sączyło się łagodne światło, majaczył cień kogoś ubierającego choinkę.

Pod to główne wejście podjechał z rykiem silnika wielki czarny hummer i zahamował, wyrzucając gejer błota. Z samochodu wysiadły trzy osoby. Chłopak na przedzie dźwigał chyba z dziesięć pudełek, każde zapakowane w złoty lub srebrny papier i przewiązane kolorową wstążką.

Zacinał deszcz, postacie skuliły się pod porywem wiatru. Żadna z nich nie nosiła płaszcza ani kurtki. Dwóch chłopaków miało na sobie tylko lekkie bluzy, a jeden z nich w dodatku był w samych szortach – na ten widok zrobiło mi się jeszcze zimniej, mimo że byłam owinięta w puchówkę.

Silny wiatr zdmuchnął pudła pierwszemu chłopakowi. Poszybowały w stronę podjazdu, dwa wylądowały w wielkiej kałuży. Chłopak się tym nie przejął. Dogonił je i z rozmachem kopnął, aż poszybowały w powietrze. Potem chwycił inne prezenty, które jakimś cudem uniknęły błota, a kilka zostawił w wodzie.

Drugi chłopak włączył tymczasem szperacze na dachu hummera i oświetlał leżące w błocie szczątki prezentów. Obaj najwyraźniej świetnie się bawili. Bezustannie chichotali i poklepywali się po plecach.

Dziewczyna, która była z nimi, niosła tylko dwa obwiązane wstążką pudełka. Niebacznie postawiła je na moment na dachu samochodu, a podmuch wiatru uniósł je w powietrze. Oba poszybowały w ciemność. Dziewczyna również nie wyglądała na przejętą utratą paczek. Zamiast gonić pudła, stanęła na jednej nodze z dłońmi złożonymi jak do modlitwy i zastygła w tej pozycji.

Po chwili jeden z chłopaków klepnął ją w ramię i wskazał drzwi. Wszyscy troje wbiegli do środka z kilkoma prezentami, które uniknęły zagłady, a pozostałe wiatr turlał po podwórku.

Nowo przybyli przeszli przez wysoki na dwa piętra hall i znaleźli się w salonie, którego sporą część zajmował stół nakryty śnieżnobiałym obrusem. Ogromna choinka błyszczała setkami światełek. Na jej szczycie sterczała wielka gwiazda, a bombki i łańcuchy, od których odbijało się światło lampek, rzucały kolorowe refleksy na świątecznie udekorowany stół. Przy każdym nakryciu – a było ich osiem – leżała starannie udrapowana serwetka, z jakiegoś powodu ozdobiona nadrukiem wypukłej trupiej czaszki. Z wielkich głośników, ukrytych dyskretnie w rogach pokoju, dobiegały dźwięki *Cichej nocy*.

Na środku stołu stała podświetlona szopka. Święta Rodzina siedziała przy żłóbku, osiołek zajadał siano, krówka wpatrywała się z zadumą w dal, a trzej królowie podążali za Gwiazdą Betlejemską, która zresztą też była elektryczna i jasnym światłem wskazywała drogę. Obok stajenki starannie zaparkowano kilka modeli samochodów, między innymi forda mustanga, takiego jak mój, tylko w skali jeden do pięćdziesięciu pięciu, no i czerwonego.

Młoda kobieta, która wyszła z cienia i zbliżyła się do stołu, miała długie rude włosy, szczupłą figurę, za którą wiele osób dałoby się zabić, i zupełnie niepasujące do siebie ubrania: cienkie legginsy, białą bluzkę i góralską kamizelkę. Uniosła srebrną pokrywę jednego z półmisków, sięgnęła po danie i w tym momencie z talerza buchnęła chmura białego dymu, a spod stroika stojącego na stole siknęła przezroczysta ciecz – prosto w twarz kobiety. Jednocześnie rozległ się głośny chichot. Kobieta zrobiła krok do tyłu, zachwiała się,

zawadziła nogą o girlandę i klapnęła na pupę. Ponownie rozległ się donośny chichot i zza choinki wypadł chłopak w szortach, jeden z tych z hummera.

– Święta, święta i po świętach! – wrzasnął. – Poznaj renifera Rudolfa.

Wyciągnął spod bluzy maskę i założył ją na twarz. Trzeba było dużej dozy wyobraźni, żeby uznać to za przebranie renifera, ale chłopak najwyraźniej nie miał z tym problemu. Zaczął galopować po salonie, wydając odgłosy, które zapewne uznał za typowe dla reniferów. Przy bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec, że pysk zwierzęcia jest wykrzywiony w upiornym uśmiechu i niewątpliwie lekko zakrwawiony.

– Tyłek mnie boli! – krzyknęła rudowłosa. – I to już trzecia bluzka dzisiaj.

– Ale klapnęła! – Młody człowiek w bluzie nadal chichotał. – Marcin, nagrało się?

Facet z kamerą, ukrywający się do tej pory za choinką, skinął głową.

– Szlag by to! – Ruda podniosła się z podłogi i ze złością zaczęła ściągać bluzkę. – Co z tą kolacją? – zapytała, stojąc przy stole w samym biustonoszu, zresztą bardzo ładnym. I drogim. Znam niewiele kobiet (oprócz siebie), które stać na bieliznę tej firmy. – Jest tu jakieś normalne jedzenie?

– Wybuchło. – Chłopak w bluzie diabolicznie zachichotał.

– Jestem głodna – zdenerwowała się rudowłosa. – Chciałabym, żeby przynajmniej czasem jedzenie dawało się zjeść, zamiast wybuchać. I to nie była nawet żadna świąteczna potrawa.

– Mamy świąteczne hot dogi! – ryknął chłopak do kamery. – Kochani! Całą ogromną misę świątecznych hot dogów. Jeśli jeszcze nas nie subskrybujecie, natychmiast to zrobicie. Aha, no i dawajcie łapki w górę. Zaraz zaczynamy świąteczny challenge w jedzeniu hot dogów, które przyniósł nam sam Święty Mikołaj. Nie kłamie, wszedł gościu kominem z workiem hot dogów. Nastawiaj stoper. – Skinął na drugiego chłopaka. – Kochani, postanowiłem pokonać Żrekotka w jego konkurencji. Zjadł pięć hot dogów w minutę, ja postaram się zjeść sześć. Trzy, dwa, jeden, zero, start!

Drugi chłopak wcisnął przycisk i na ogromnym telewizorze ruszył licznik czasu. Chłopak w szortach pochłaniał kolejne hot dogi. Gęsty sos skapywał mu po bluzie, ale w ogóle nie zwracał na to uwagi.

– Pan Zdziwko bardzo się zdziwi, ale nie uda mu się mnie prześcignąć. – Narrację podjął drugi chłopak, z oczywistych powodów: Pan Zdziwko miał usta zapchane kłębem buły i parówek. – Zdziwi się, bo nigdy nie pobije Żrekotka. A wy, kochani, pamiętajcie: łapki w górę i subskrybujcie nasz kanał. Łeeeeee, dopiero czwarty hot dog, a tylko dziesięć sekund do końca.

Pan Zdziwko wybełkotał coś niezrozumiałego, wyciągając jednocześnie kciuk w górę i dając do zrozumienia, że nie powiedział ostatniego słowa, jeśli chodzi o zjedanie hot dogów na czas. Sięgnął po kolejnego, obiema rękami wepchnął go sobie do ust i wtedy rozległ się świrdujący dźwięk dzwonka.

– Koniec, koniec, tylko cztery – ucieszył się Żrekotek.

– Jakie cztery, pięć! – zagrmiał Pan Zdziwko, kiedy już przełknął hot doga.

– Nie liczy się, po czasie. – Żrekotek zaczął tańczyć wokół stołu, wymachując rękoma.

– Pięć, było pięć. Rekord wyrównany – protestował Pan Zdziwko. – Kochani, jeśli uważacie, że było pięć, to dawajcie łapki w górę.

– Mamy sto dwadzieścia tysięcy polubień – mruzczała menedżerka Joanna Zaraz. Poznałam ją ledwie kilka minut wcześniej. Była nieco starsza od chłopaków, ale nie rzucało się to w oczy, bo tak jak oni była ubrana w obszerną bluzę i džinsy i nosiła nawet podobną krótką ciemną fryzurę. Teraz ze zmarszczonym czołem sprawdzała liczby na komórce. – Ciśnijcie dalej.

– Ciotka Klotka, Ciotka Klotka! – zaczęli skandować obaj: Żrekotek i Pan Zdziwko. – Dajesz, pobij rekord.

Rudowłosa w staniku zrobiła groźną minę i wyduła wargi.

– Nie ma mowy.

– Ale się boi – zachichotał Pan Zdziwko.

– Ciotka Klotka padłaby po jednym hodożku – zawtórował mu Żrekotek.

Rudowłosa pokręciła głową, westchnęła ciężko i uderzyła dłonią w minutnik, po czym porwała z półmiska hot doga i jednym kęsem odgryzła połowę. Zaczęła żuć, ale nagle poczerwieniała i zakrzuszyła się. Rozpaczliwie rozejrzała się dookoła, złapała butelkę coli i wlała sobie do gardła prawie połowę, po czym zaczęła się wachlować chusteczką. Kolor jej twarzy powoli wracał do normy.

Rozległ się dzwonek minutnika. Żrekotek i Pan Zdziwko zaczęli ponownie podskakiwać, zachwyceni psikusem.

– Czego tam dodaliście? – Ciotka Klotka z furią ruszyła w ich stronę.

– Nic takiego – powiedział Pan Zdziwko z niewinną miną, sprytnie umykając za fotel. – Trochę ostrej papryki.

– Rany, przedwczoraj wrzuciłeś mi to samo do kebaba – skrzywiła się Ciotka Klotka. – Ile można powtarzać numer z ostrą papryką?

– Do oporu. – Pan Zdziwko padł na kanapę, zastygając w bezruchu i udając, że nie żyje.

– Cięcie! – zawołał operator i Pan Zdziwko ożył. Wstał z kanapy, a Ciotka Klotka opróżniła do końca butelkę coli, wciąż patrząc na niego z wyrzutem.

– Sto osiemdziesiąt tysięcy, całkiem niezłe – zawiadomiła Joanna Zaraz. – Plus tysięcy pięćset nowych subskrybentów. Pani Lucjo, jak pani sądzi, dobrze poszło?

– Chyba tak. – Wzruszyłam ramionami. – Przynajmniej jeśli chodzi o nowych subskrybentów.

– Tak, ale jak poszło, jeśli chodzi o świąteczny klimat? – doprecyzowała pytanie menedżerka. – Bardzo nam zależy, żeby wszystkie filmiki były utrzymane w tradycyjnym polskim klimacie świątecznym. Było tradycyjnie?

– No cóż, scena z prezentami na początku nie była zbyt przekonująca. Może i ten czarny hummer z ledami robi wrażenie, ale z tradycyjnymi świętami bardziej kojarzy się bryczka. A najlepiej sanie, tylko potrzebowałibyśmy śniegu.

– No właśnie, śnieg! – Menedżerka klepnęła się w czoło. – Na śmierć zapomnieliśmy o śniegu. Bryczka to taka z koniem?

– Owszem, jeśli bryczka albo sanie, to koń w zasadzie jest niezbędny – przytaknęłam.

– Darek, gdzie ty jesteś? – huknęła menedżerka.

Po chwili zmaterializował się obok nas niski mężczyzna po trzydziestce. Zaczynał łysieć i zapewne dlatego postanowił ufarbować te włosy, które jeszcze zostały mu na głowie, na kolor kanarkowy. Nie posłużyło im to. Ani jemu.

– Potrzebujemy bryczki zimowej. Jak ona się nazywa?

– Sanie? – podsunał usznięte Załatwiacz. Naprawdę nazywał się Darek Wybuch.

– Właśnie. Sanie. I ten biały. Snow.

– Śnieg? – zasugerował mężczyzna.

– Tak. Śnieg. – Joanna Zaraz uśmiechnęła się. – Na zaraz. Spędziłam całe życie w Japonii, rodzice byli na placówce, a potem zostałam – wyjaśniła na mój użytek. – Wciąż brakuje mi polskich słów.

– Dobra, załatwię – mruknął Załatwiacz i ruszył w stronę schodów, ale menedżerka go powstrzymała.

– Poczekaj. Pani Lucjo, a poza tym było okej?

– Hm, prezenty powinien raczej przynieść Mikołaj – zauważyłam. – I nie powinny odlatywać, kiedy zawieje wiatr. Wydają się wtedy puste.

– Bo są puste – oznajmił Darek Wybuch.

– Oglądałam taką reklamę o polskich tradycjach świątecznych – wtrąciła Joanna Zaraz. – Tam podjeżdża samochód bez Mikołaja, tylko z modelkami, a wszystkie prezenty fruwią.

Westchnęłam.

– Obawiam się, że Mikołaj jest nieodzowny, jeśli ma być tradycyjnie. Bryczka lub sanie również. Poza tym w czasie kolacji wigilijnej rzadko zdarza się challenge w jedzeniu świątecznych hot dogów.

– Mówiłeś, że to polska tradycja. – Menedżerka zmierzyła złym spojrzeniem Pana Zdziwko.

– No co, żartowałem. – Chłopak wzruszył ramionami. – U mnie w domu nie było hot dogów. Był za to wielki kubeł smażonych skrzydełek. Nie mogłem się doczekać przez cały rok.

– Niestety smażone skrzydełka również nie są tradycyjne. – Pokręciłam głową. – Makowiec? Kutia? Pierogi? Zupa grzybowa, ewentualnie barszczyk?

Po każdym moim słowie mina Joanny Zaraz wydłużała się coraz bardziej.

– Makowiec? – zapytała z powątpiewaniem. – Czy to bezpieczne? Nie chcielibyśmy, żeby były zażalenia, skojarzenia z narkotykami, makiem, heroiną.

– Bezpieczne i tradycyjne – potwierdziłam. – Może po kolacji jakieś wierszyki świąteczne?

– Świetny pomysł – ucieszyła się menedżerka. – Challenge dziewczyny na chłopaków. Czerwona Ka, Wilczyca, chodźcie tu.

Dwie dziewczyny, które zjawiły się w salonie, wyglądały jak copy-paste z obrazka „współczesna nastolatka”. Długie włosy (u obu blond, u jednej naturalne, u drugiej peruka), krótkie dzinsowe szorty i jasne bluzy, podmalowane oczy, sprawiające wrażenie podbitych.

– Wilczyca, czyli Marysia Wilk, jest z nami od początku. – Joanna Zaraz przedstawiła tę trochę wyższą. – A Czerwona Ka dopiero od miesiąca. Zastąpiła Małą Tosię, która...

– Się szarogęsiła – podpowiedziała dziewczyna w peruce. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła małą czerwoną czapkę i założyła na głowę.

– Marlena Czerwona występuje jako Czerwona Ka, czyli Czerwony Kapturek – wyjaśniła menedżerka. – Poszerzamy target. Z jednej strony dzieci siedem plus, z drugiej odbiorcy trzydzieści plus i, jeśli się uda, rodzice dzieci w wieku szkolnym. Dlatego potrzebujemy tej tradycji. Mówiła pani o wierszykach?

– Na przykład challenge z kończenia wierszyków. – Staralam się mówić językiem, który byłby zrozumiały dla obecnych. – Powiedzmy: Święty Mikołaj dużo prezentów miał... – Spojrzałam wyczekująco na dwie dziewczyny.

– Nikomu ich nie dał, wszystkie wywalił i fajki sobie popalił – zadeklamowała Czerwona Ka.

– Święty Mikołaj dużo prezentów miał, ale był głupawy, prezentami sam się bawił, dzieciom nic nie zostawił. – Wilczyca rozwinęła poetyckie skrzydła, po czym skrzywiła się i mruknęła: – Ale to nudne. Nakręćmy coś wesołym miasteczku.

Nie do końca takie wierszyki miałam na myśli, mówiąc „tradycja”. Ale przecież nie inkasowałam obłądnie wysokiej gaży za zmaganie się z codziennymi błahymi problemami.

Rozdział 2

Nie wiem, w co się ubieracie do świątecznego stołu. Jeśli siadacie do wigilii w szortach w pingwinki, czapce bejsbolówce i bluzie z czaszką, to nie rozumiecie problemu, przed jakim stanęłam. Żrekotek i Pan Zdziwko też go nie rozumieli. Zdumienie na ich twarzach, gdy zapytałam, w co zamierzają się ubrać na próbę generalną tradycyjnej polskiej kolacji wigilijnej, wyglądało na bardzo autentyczne. A kiedy wreszcie załapali i poszli się przebrać, wrócili po prostu w innych bluzach.

– Ta przecież jest świąteczna – upierał się Żrekotek, obracając się, żebym mogła docenić jego outfit. Tym razem na bluzie nie było czaszki. Zamiast niej cały przód pokrywały płomienie, z których wylaniał się czołg z buchającym z lufy ogniem.

– Czołgi to wyjątkowo mało świąteczny motyw. – Pokręciłam głową.

– Ale te bluzy chodzą po tysiąku. Zakładamy je tylko od wielkiego dzwonu. – Żrekotek otworzył szeroko oczy. – Mamy jeszcze droższe, ale na nich są jakieś węże.

– Węże też nie są świąteczne – wyjaśniłam.

– Tam w tradycji było coś o węzach i jabłkach. Babcia opowiadała, ale zapomniałem – próbował sobie przypomnieć Pan Zdziwko. – Może by jednak pasowało?

– Akurat wąż z jabłkiem do Wigilii wyjątkowo nie pasuje – ucięłam.

– A śmierć z kosą? Ale w bardzo wesołych kolorach. I jest uśmiechnięta. Pokazać?

Zapewniłam go, że nawet ekstremalnie wyszczerzona śmierć z kosą jest wyjątkowo mało wigilijna.

– O! Ja mam Mikołaja. I jest uśmiechnięty – przypomniał sobie Żrekotek i pognął do swojego pokoju.

Miałam złe przeczucia. Jak się okazało, słusznie. Mikołaj na nowej bluzie Żrekotka naprawdę był uśmiechnięty i to była ta dobra wiadomość. Zła wiązała się z powodem tego uśmiechu. Otóż święty ciągnął za sobą związane dzieci, które upychał do worka. Dzieci wyglądały na przerażone.

– Myślę, że dostaną prezenty, a same są prezentami dla złego Mikołaja – wyjaśnił Żrekotek, na wypadek gdybym, jako osoba w dorosłym wieku, nie zrozumiała.

– Zdecydowanie nieświęteczne – zawyrokowałam.

– Te bluzy też chodzą po tysiąku – przekonywał Żrekotek. – Dostaliśmy ich dwa kartony od sponsora.

Zaplotłam ręce na piersi. Nie wiem, co taki gest oznacza w języku influencerów, ale w moim jasno dawał do zrozumienia, że ten numer nie przejdzie.

Bluzy dziewczyn były trochę lepsze. Z naciskiem na „trochę”. Nie widniały na nich wizerunki złowieszczego uśmiechających się Mikołajów, ale napis „What a fucking day” nieco je dyskwalifikował jako strój na Wigilię.

– Też nie – powiedziałam.

– Mogę sama zrobić lepszą bluzę – zaferowała się Wilczyca. Wyjęła tablet, pociągnęła kilka razy rysikiem po ekranie i podstawiła mi swoje dzieło pod nos. – Może być?

Na szablonie bluzy widniała uśmiechnięta twarz Mikołaja w czapce z podpisem „Grupa Ciotki Klotki”. I niżej: „Wesołych Świąd”.

– Byłoby lepiej z „t” na końcu – stwierdziłam.

– Mam dysleksję. – Wilczyca machnęła beztrudnie ręką, ale poprawiła podpis. – Zrobiłam nową bluzę i od razu wrzuciłam wzór do naszego sklepu – zawiadomiła menedżerkę, która weszła do salonu z zaferowaną miną. – Mamy już... – zerknęła na tablet – ...dwieście cztery zamówienia.

– Prosiłam przecież, żeby nie dodawać do sklepu nowych produktów. – Joanna Zaraz zamalowała ręce. – Nie zdążą ich uszyć przed świętami. Zanim dopłyną z Chin, miną trzy tygodnie.

– Już trzysta siedemnaście zamówień – ucieszyła się Wilczyca. – Powiedz, żeby zrobili ekspresem.

– Jak to z Chin? – zainteresowała się Czerwona Ka. – To nie szyjemy ich w Polsce? Przecież opowiadamy, że wszystko jest uszyte z polskiej bawełny?

– W Polsce nie ma polskiej bawełny – oświadczyła Joanna Zaraz. – Szyjemy w Chinach, a u nas dodajemy metkę i opakowanie.

– Już czterysta pięć zamówień – ekscytowała się Wilczyca.

– I ja mam tak codziennie – szepnęła do mnie Zaraz. – Oni uważają, że wszystko robi się zaraz. A przecież linie produkcyjne nie są z gumy. Żrekotek, to ty zmieniłeś wzór? – Zmarszczyła brwi, patrząc na bluzę w sklepie.

Żrekotek zachichotał i kiwnął głową. Joanna Zaraz westchnęła ciężko i pokazała mi na tablecie projekt nowej bluzy. Od momentu zaprojektowania minęło jakieś pięć minut. Bluza została już zamówiona w czterystu osiemdziesięciu siedmiu egzemplarzach (po dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć złotych sztuka).

Rysunek uśmiechniętego Mikołaja się nie zmienił, za to podpis brzmiał obecnie: „Wesoły Świąd”.

Nie to miałam na myśli, mówiąc o tradycji.

Rozdział 3

Znacie pojęcie przepaści pokoleniowej? To ten moment, kiedy opowiadacie o swoim ulubionym filmie lub książce i z reakcji rozmówcy wnioskujecie, że temat jest dla niego równie odległy jak skład chemiczny planetoidy C8932.

Titanic nie jest moim ulubionym filmem, ale zawiera sporo scen pokazujących efekt, do jakiego chciałam doprowadzić: elegancko ubranych ludzi kulturalnie spożywających wytworny posiłek. Jako pomoc naukowo w sytuacji kryzysowej powinien się sprawdzić.

Kilkuminutowy urywek zrobił na grupie wielkie wrażenie, zwłaszcza że widzieli go pierwszy raz w życiu.

– I co, dopłynęli do Nowego Jorku? – zainteresowała się Czerwona Ka.

– Zderzyli się z górą lodową – rozwiałam jej nadzieje.

– Ojej, szkoda. Utonęli?

– On tak, a ona nie. – Wskazałam na DiCaprio i Kate Winslet.

– Powinni grać też w innych filmach – zauważyła Wilczyca. – Byliby znani.

– Grają – powiedziałam. – No i są dość znani.

– W bardziej znanych filmach – uściśliła. – Na przykład *Liga zabójców* albo *Klasa bez końca*.

– Może kiedyś dostaną szansę – westchnęłam. – Rozumiecie już, o co mi chodzi? Kolacja powinna być bardziej w tym stylu.

– Tak, bał na Titanicu – zapalił się Żrekotek i popędził na górę ścigany przez Pana Zdziwko. Dziewczyny pobiegły za nimi.

– Pani Lucjo, ogromnie mi zależy, żeby ta kolacja wypadła tradycyjnie i tak... bardziej normalnie – powiedziała Joanna Zaraz, kiedy zniknęli w swoich pokojach. – Jak pani widzi, oni są bardzo żywiołowi. Generują ogromny ruch w sieci, siedem milionów wejść miesięcznie. Nawet wczoraj i dziś, mimo że jest okres świąteczny, zgłosili się kolejni kontrahenci. Producent wody gazowanej oferuje milion złotych, jeśli będą pili jego napoje, a dwa miliony, jeśli zrobią z nimi challenge. Wpływy ze sklepu internetowego rosną o pięćdziesiąt procent miesiąc w miesiąc. O, mamy już ponad tysiąc zamówień na tę bluzę z Mikołajem. To są ogromne pieniądze. Zastanawiamy się, czy nie wejść na giełdę, ale sama pani wie, to zupełnie inny świat.

Skinęłam głowę. Jakoś tak jest, że na graczech giełdowych zyski ze sklepu internetowego robią doskonałe wrażenie, ale nastolatek w szortach w czachy już gorsze.

– Potrzebujemy kilku tradycyjnych klipów, w których oni siedzieliby za stołem jak ludzie i tak się zachowywali. Pokazalibyśmy je poważnym inwestorom. Bo przecież nie możemy im wyświetlić filmiku, który z chłopaków dłużej beka, mimo że ten materiał miał aż dwa miliony wyświetleń. Potencjalni inwestorzy, oglądając film o bekaniu, mogliby uznać, że grupa Ciotki Klotki nie jest bezpieczną inwestycją pieniędzy. Jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Mogłam sobie wyobrazić reakcję inwestorów na challenge z bekaniem. Skinęłam więc głowę.

– Cieszę się – odetchnęła Joanna Zaraz. – Polecono mi panią jako ostatnią deskę ratunku. Był tu z nami bardzo znany reżyser, miał zrealizować świąteczny klip, ale drugiego dnia wyjechał i już nie wrócił. Podejrzewam, że chodziło o to, że chłopaki przykleiły go do krzesła. Nawiasem mówiąc, proszę sprawdzać powierzchnie, na których zamierza pani usiąść. Oni używają bardzo mocnego kleju. Mnie już się to kilka razy zdarzyło.

– Przemknęło mi to przez głowę – przyznałam. – Sprawdzam. Natomiast pani chyba teraz tego nie zrobiła.

Joanna Zaraz zerwała się na równe nogi. A właściwie usiłowała się zerwać, ale nie pozwoliła na to klej, który związał jej dżinsy z krzesłem.

– Psikus, psikus – zawył Żrekotek, pojawiając się znikąd. – Kręcisz?

Kamerzysta bez słowa przytaknął, cały czas filmując menedżerkę, która usiłowała odzyskać równowagę. Nie tylko duchową. Co nie jest proste, gdy ktoś przykleił cię do krzesła. W końcu jednak przewróciła się na dywan.

– Mamy to! – zawołał kamerzysta.

Joanna Zaraz uśmiechnęła się wymuszonym uśmiechem osoby, która jest zachwycona świetnym kawałem. Miałam nadzieję, że jej kontrakt pokrywa takie niedogodności.

– Proszę mi podać rękę – mruknęła, podnosząc się z dywanu. Krzesło nadal mocno trzymało się jej siedzenia. – Będę zmuszona oddalić się na moment – zawiadomiła szeptem.

Dawała sobie całkiem niezłe radę sama, co wskazywało na dużą praktykę w pozbywaniu się przymocowanych do dżinsów krzesel.

– Mamy Titanica! – zawołał energicznie z piętra Pan Zdziwko.

Ze schodów zeszły Wilczyca i Czerwona Ka. Obie były ubrane w długie czarne suknie wieczorowe.

– A teraz pora na kolację – zaanonsował Żrekotek. On też miał na sobie coś jakby garnitur. Co prawda srebrny, za to koszula była biała. Przynajmniej do momentu, kiedy z piętra chlusnęła na Żrekotka czerwona maź.

– Dziewczyny górą! – zachichotała Czerwona Ka. – Titanic w keczupie. Masz to?

Operator skinął głową, robiąc zbliżenie Żrekotka, który pokryty keczupem wyglądał jak ofiara Freddy'ego Kruegera. Ze stoickim spokojem zdejmował keczup z włosów i oblizywał palce. Potem odwrócił się do kamery i wyrecytował:

– Jeśli wam się podobało, to łapki w górę i subskrybujcie nasz kanał. Wesołych świąt! Czy to było świąteczne? – Spojrzał na mnie, ale tylko pokręcił głową.

Rozdział 4

Joanna Zaraz wstukała kod, uchyliła drzwi i powstrzymała mnie ruchem dłoni. Minęło może piętnaście sekund, zanim odważyła się otworzyć skrzydło szerzej, popychając je zresztą długim patykiem. Nic się nie wydarzyło, więc ostrożnie weszła do środka i zapaliła światło. Rozejrzała się uważnie, spozjrzała w górę i wreszcie, najwyraźniej uspokojona, zaprosiła mnie gestem.

– Wczoraj zapomniałam o środkach ostrożności, spieszyłam się na połączenie wideo z inwestorem i po prostu weszłam do gabinetu – wyjaśniła, lekko się wzdrygając. – Niestety Żrekotek przymocował do drzwi linkę i wchodząc, otworzyłam skrzynkę z nietope rzami. Oczywiście zaczęłam wrzeszczeć, bo jeden wczepił mi się we włosy.

– Jak to się skończyło? – zaciekawiłam się.

– Sto dwadzieścia tysięcy wyświetleń. – Menedżerka wzruszyła ramionami. – Na szczęście wpadłam na to, żeby zaznaczyć w kontrakcie, że nie mogą robić pułapek w toalecie. Moja poprzedniczka odeszła właśnie po tym, jak trafiła na pułapkę toaletową. Chłopaki trochę narzekały na mój kontrakt. Pułapki toaletowe miały zawsze najlepszą oglądalność. Mam nadzieję, że zaznaczyła pani, że nie życzy sobie czegoś takiego?

– W umowie mam zagwarantowany całkowity brak pułapek i filmowania – potwierdziłam. – Home Disaster Manager musi pozostać anonimowa.

– Zazdroszczę – westchnęła Joanna Zaraz. – Czasem się zastanawiam, czy oni się kiedyś wzajemnie nie pozabijają.

– W przenośni? – zapytałam.

– Och, nikt jeszcze nie umarł od wiadra keczupu we włosach. – Znowu wzruszyła ramionami. – Nie uwierzy pani, na ile sposobów można ograć ten keczup. Najpierw zrobili ranking keczupów – czterysta osiemdziesiąt tysięcy wyświetleń. Potem ranking hot dogów – pięćset dziewięćdziesiąt tysięcy wyświetleń. Dalej – zjedanie hot dogów na czas. No i obywanie się keczupem. Będzie czyszczenie się z keczupu, najlepsze sposoby na wywabienie keczupu z włosów i ubrania. Challenge z plam na ścianie. Producent farb płaci krocie za zapewnienie, że wystarczy przetrzeć ścianę ściereczką. Wpływy z keczupu przekroczą pół miliona złotych.

– Gratuluję. – Uśmiechnęłam się.

– Byłoby wspaniale, niestety mamy pewien problem – powiedziała ostrożnie Joanna Zaraz. – Rodzinka Ciotki Klotki stała się już marką. Zresztą z pewnością zapoznała się pani z naszą broszurą informacyjną?

– „Ciotka Klotka to influencerka z dziesięcioletnim doświadczeniem. Cztery lata temu założyła Rodzinkę Ciotki Klotki, przez którą przewinęło się kilka osób. Członkowie grupy kochają się jak prawdziwa polska rodzina. Ciotka Klotka to troskliwa mama, Żrekotek – niesforny, ale kochany synek, który ma piękną narzeczoną, Wilczycę. Grupę dopełniają Pan Zdziwko, wciąż zdumiony otaczającym go światem i poświęcający czas na rozliczne eksperymenty, oraz Czerwona Ka – nowy nabytek – dziewczyna, która każdemu pomoże. Rodzinka Ciotki Klotki to novum na polskiej scenie influencerskiej. Razem mieszkają, razem stawiają czoła życiu, razem spędzają święta, planują przyszłość, bawią się i pracują. W sumie mają ponad dziesięć milionów wyświetleń miesięcznie” – wyrecytowałam.

– Kluczowe są słowa „jak prawdziwa polska rodzina” – zaznaczyła Joanna Zaraz. – Otóż Ciotka Klotka jest tym wszystkim zmęczona. Ma już swoje lata. Przekroczyła trzydziestkę, czas na emeryturę.

Taktownie nie odpowiedziałam. Mnie stuknęła czterdziestka i dopiero zaczynałam się dobrze bawić.

– Rzecz w tym, że mówimy o naprawdę dużych pieniądzach – westchnęła menedżerka i podejrzliwie trąciła skórzany fotel stojący za wielkim biurkiem. Fotel jednak się nie poruszył ani jej nie zaatakował. Nałożyła lateksową rękawiczkę i pomacała siedzisko, a potem z ulgą usiadła.

– Proszę siadać. – Wskazała drugi fotel. – Ale najpierw...

– Domyślam się. – Sprawdziłam, czy mój fotel nie jest pokryty klejem albo podpiłowany. Nie był. Usiadłam ostrożnie, na szczęście nic się nie wydarzyło.

– Kiedy Ciotka Klotka zakładała Rodzinkę, to był nieduży biznes kilkorga nastolatków, jakieś dwa miliony obrotu rocznie – tłumaczyła Joanna Zaraz.

Od moich czasów licealnych pojęcie niedużego biznesu nastolatków nabrało najwidoczniej nowego znaczenia.

– W tej chwili roczne obroty wynoszą sześćdziesiąt osiem milionów złotych, a plany mamy znacznie większe – chrząknęła menedżerka. – Wilczyca chciałaby, żeby Rodzinka poszła w stronę szeroko pojętej branży fit, Żrekotek stawia na humor sytuacyjny, Pan Zdziwko najlepiej czuje się, występując solo, a Czerwona Ka, zanim dołączyła do naszej grupy, działała w nowych technologiach. Krótko mówiąc, nazwa Rodzinka Ciotki Klotki nie do końca oddaje sytuację w grupie. Nie wiem, jak to ująć... – Zawiesiła głos.

– Ciotka Klotka stworzyła markę i jest jej właścicielką, a pozostali pretendują do tej własności – pomogłam jej. W przeciwnym razie męczyłaby się jeszcze kwadrans.

– Cóż, może nie tak bym to...

– Ale tak jest? – wpadłam jej w słowo.

Skinęła głową.

– Dostajemy na bieżąco raporty oglądalności. Chłopaki i Wilczyca wyprzedzają Ciotkę Klotkę, natomiast podział zysków jest...

– Niewspółmierny. – Znowu pomogłam jej znaleźć odpowiednie słowo.

– Właśnie. – Menedżerka odetchnęła. – W dodatku jesteście w przededniu podpisania kilku ważnych kontraktów. Batoniki Ciotki Klotki, płatki Ciotki Klotki. Natomiast chłopaki buntują się, bo Ciotka Klotka ma zagwarantowany...

– Większy udział w zyskach.

– Ja nic nie powiedziałam – zastrzegła Joanna Zaraz. – Żrekotek prowadzi rozmowy w sprawie utworzenia Grupy Żrekotka. Gdyby odszedł z Wilczycą, to byłby...

– Cios – dokończyłam cierpliwie.

– O właśnie. Inwestorzy z pewnością byliby zawiedzeni. Jednym słowem, potrzebujemy wysłać im sygnał, że Rodzinka Ciotki Klotki jest...

– Monolitem.

– Pani Lucjo, jest pani genialna. – Joanna Zaraz uśmiechnęła się.

– A pani zaraz zleci z fotela – ostrzegłam ją.

– Ma pani jakieś przecieki od inwestorów?

– Nie – zaprzeczyłam. – Ale zauważyłam linkę przymocowaną do nogi fotela.

Wzrok menedżerki powędrował w dół, ale zareagowała z opóźnieniem. Linka niknąca gdzieś przy ścianie naprężyła się i wprawiła fotel Joanny Zaraz i ją samą w ruch wirowy. Drzwi gabinetu otworzyły się i usłyszałyśmy znajomy chichot Żrekotka.

– Trafiona, zatopiona. Marcin, masz to?

Operator bez słowa skinął głową, filmując obracającą się w szalonym tempie na fotelu Joannę Zaraz.

– Nagramy potem setkę, jak Joanna podchodzi i siada na fotelu – mruknął.

– Ale numer, czad, komando, Belfast! – wrzasnął zachwycony Pan Zdziwko, kiedy menedżerka malowniczo upadła na dywan.

Rozdział 5

Joanna Zaraz była twarda. Kwadrans później siedziała za biurkiem jakby nigdy nic i przeglądała statystyki wyświetleń.

– Kręcenie ma o piętnaście procent lepszą klikalność niż przyklejanie do fotela – zawiadomiła mnie. – Może to jednak znaczyć po prostu, że przyklejanie już się opatrzyło. Ma pani jakiś plan?

Co za pytanie! Ja zawsze mam jakiś plan.

– Oczywiście – uspokoiłam ją.

– Znakomicie – odetchnęła Joanna Zaraz. – Kiedy będzie im pani coś tłumaczyć, proszę pamiętać, że oni są jak te małe rybki, które pływają w szklanej kuli.

– Gupiki? – podsunęłam.

– Możliwe – zgodziła się. – Te rybki mają pamięć dziesięciosekundową. Musi pani zmieścić swój przekaz w dziesięciu sekundach, inaczej zapomną.

– Zmieściłam – potwierdziłam. – Wysłałam im piktogramy pokazujące polską tradycję wigilijną i dorzuciłam zadanie do challenge'u. – Podałam jej kartkę z obrazkami.

– Sianko? Opłatek? Śledź? – Brwi Joanny Zaraz uniosły się lekko. – Sądzi pani, że sobie poradzą? Z pewnością nie zjedzą tej dziwnej ryby.

– Jestem przekonana, że sobie nie poradzą – uściśliłam. – Ale challenge z jedzenia tradycyjnego wigilijnego śledzia w oliwie na pewno będzie miał rewelacyjną oglądalność.

– Ma pani rację. – Menedżerka zatarła ręce.

Żrekotek i Pan Zdziwko byli wniebowzięci.

– Chłopaki na dziewczyny! – krzyknął Pan Zdziwko. – Szukamy śledzia. I opłatka.

– I tego czegoś dziwnego zielonego. – Czerwona Ka zmarszczyła brwi i wskazała obrazek sianka. – Będziemy to jeść?

Wizja Rodzinki Ciotki Klotki jedzącej sianko przy stole wigilijnym była kusząca, ale jakoś się powstrzymałam. Pokręciłam głową.

– Darek, załatwiłeś ten opłatek? – Żrekotek trącił Załatwiacza, który nerwowo przerzucił strony w telefonie.

– Muszę sprawdzić kontakty – wyjaśnił. – Zadzwoń do znajomego, który pracuje w jednej fundacji. On zna faceta, który chodził do liceum z gościem, który zna pewnego biskupa. Z kolei ten biskup ma podobno dojścia do kogoś w kurii, kto ma opłatki.

– Wspaniale – ucieszyłam się. – Można jednak też kupić opłatek od aniołka. Spacerują w każdym centrum handlowym.

Kilka par oczu wpatrzyło się we mnie ze zdumieniem.

– Serio? – zapytał Pan Zdziwko. – Można tak pójść i kupić? Ale numer, czad, komando, Belfast.

– Lub pójść na plebanię – dodałam.

– Może lepiej nie – przestraszyła się Joanna Zaraz. – Nie chciałabym zatargów związanych z przyklejeniem kogokolwiek w kościele.

– Galaretka też jest świąteczna? Ale numer. Czad, komando, Belfast – zachwyił się Pan Zdziwko.

Wrócili po godzinie. Trzeba im przyznać, że byli kreatywni. Przygotowali cały gar galaretki. Co prawda truskawkowej, ale, jak podkreślili, w świątecznym czerwonym kolorze. Pan Zdziwko ustawił ją w ogromnym słoju w bezpiecznej odległości od nas i wcisnął przycisk detonatora.

Słój eksplodował, pokrywając galaretką wszystko w promieniu kilku metrów, czyli figurę Mikołaja i belę siana.

– Było świątecznie? – spytał Pan Zdziwko.

Powstrzymałam się od komentarza.

Dziewczyny skupiły się na ciuchach. Wysłałam im zdjęcia bamboszy z futerkiem i sweterka z reniferem, więc teraz stały przede mną właśnie w takim swetrze. Sęk w tym, że wszystkie były ubrane w jeden. Za to naprawdę duży, mieściły się w nim we trzy. Renifer był nawet normalny, czyli nie miał zakrwawionego pyska ani nie był reniferem zombie. Mimo to scena nie wyglądała zbyt świątecznie, bo dziewczyny pod swetrem były gołe. Nie licząc szpilek z futerkiem. Pan Zdziwko aż pisnął z zachwyty.

– Ale numer, czad, komando, Belfast. Marcin, masz to?

Operator bez słowa kiwnął głową.

– I jeszcze nagramy setkę, jak przechodzicie w swetrze – rzucił.

Dziewczyny ruszyły przed siebie, potknęły się i wywróciły.

– Święta, święta! – wrzasnął Żrekotek.

Rozdział 6

Wysadzenie bryczki z Mikołajem w środku również nie należy do kanonu wigilijnych tradycji, ale przygotowania szły pełną parą.

Joanna Zaraz wyraziła swoje wątpliwości. Podobnie jak Ciotka Klotka. Ale Pan Zdziwko i Żrekotek ich nie mieli. Podobnie jak Darek Wybuch, najwyraźniej dumny ze scenografii, którą załatwił.

Mikołaj był jak żywy, co właściwie nie dziwiło, kiedy poznało się jego cenę. Wy zapewne za taką sumę kupilibyście nieduży samochód, natomiast Wybuch zorganizował silikonowego Mikołaja, „identycznego z naturalnym”, jak głosiła metka. Zastanawiałam się, jak sprawdzili identyczność z naturalnym, musiałam jednak przyznać, że kukła naprawdę doskonale imitowała człowieka. Renifer nie był już tak idealny, ale z odległości kilku metrów dawał radę.

Bryczkę wypełniała góra prezentów zapakowanych w świąteczne pudełka przewiązane kolorowymi kokardami. Tym razem pudła nie były puste i podmuchy wiatru nie unosiły ich w powietrze.

– Nienawidzę tych wybuchów – szepnęła Joanna Zaraz. – Wiem, że oglądalność jest zbójczo wysoka. Kiedy chłopaki wysadzili w powietrze starego mercedesa, mieliśmy ponad milion wejść. Ale to jednak bardzo stresujące. Chociaż obiecali, że jak już wysadzą Mikołaja, to zabiorą się serio za tę tradycję.

Nic nie powiedziałam, bo nie miałam wielkich nadziei, że spędzimy dzień na gotowaniu barszczu i grzybowej oraz lepieniu pierogów.

– Nagrajmy setkę – nawoływał operator. – Idźcie od drzewa w moją stronę i rozmawiacie o tym, że świąt w tym roku nie będzie. Potem wybuch, filmujemy kamerą w zwolnionym tempie.

– Wyślemy Mikołaja na Księżyc, kochani – nawijał Żrekotek do kamery. – Nie przynieś ci tych zamówionych klipsów – rzucił w stronę Wilczycy.

– Ale jak to? – jęknęła jego narzeczona. – Nie będzie prezentów?

– Chyba że Czerwona Ka dostarczy je w swoim koszyczku.

– Mam tylko prezenty dla babci – odcięła się dziewczyna.

– Ty nie masz babci – skwitował Pan Zdziwko.

– Mam, ma wielkie zęby i wielkie uszy – naburmuszyła się Czerwona Ka.

– Kochani, pamiętajcie: łapki w górę i subskrybujcie nasz kanał – zaapelował Żrekotek. – Jeśli dostaniemy więcej niż milion lajków, to w Nowy Rok wysadzimy rolls royce’a.

– Jezus Maria, skąd go weźmiemy? – Joanna Zaraz złapała się za serce.

– Spokojnie, załatwi się – uspokoił ją Darek Wybuch. – Znam faceta, który ma dojsię do gościa, który ma wujka i ten wujek ma rolls royce’a.

– Kochani, teraz schowamy się za górką, żeby nic nam nie urwało. Chcemy przeżyć te święta, mówimy „pa, pa” tylko Mikołajowi – ryknął Pan Zdziwko.

– Pa, pa, Mikołaju – zawołała Wilczycy.

– Pożegnaj się ze swoimi prezentami – rzucił do niej Żrekotek ponurym głosem.

– Pa, pa, prezenty – załkała Wilczycy.

– A teraz wciskamy guzik i odpalamy Mikołaja – krzyknął Pan Zdziwko. – Ej, kto go dziś odpala?

– Czerwona Ka jeszcze nic nie wysadzała. – Żrekotek podał jej mały nadajnik. Dziewczyna położyła palec na czerwonym guziku.

– Odpalaj! – wrzasnęli wszyscy. Czerwona Ka wcisnęła przycisk i bryczka wyleciała w powietrze, a nad miejscem wybuchu zafurkotała chmura konfetti.

– Załatwiliśmy zgreda! – zarechotał Żrekotek. – Święta odwołane!

Ruszył biegiem w stronę miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stała bryczka. Poszłam za resztą. Szczątki dymiły, a po Mikołaju nie zostało prawie ani śladu, nie licząc buta i resztek czapki oraz kłębu siwych włosów.

W oddali rozległa się syrena i zamigotały niebieskie światła. Po kilkunastu sekundach pod bryczkę, a właściwie jej resztki, z piskiem opon podjechał cywilny opel insignia z niebieskim kogutem przymocowanym magnesem na dachu.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna, który wysiadł z samochodu. – Czy mają państwo pozwolenie na wybuchy? Jeśli tak, proszę okazać. A jeśli nie, to popełniono przestępstwo polegające na wysadzeniu obiektu bez zgody, z narażeniem osób postronnych na niebezpieczeństwo, czyli złamano zasady BHP.

– Mam rękę denata – zaanonsował drugi mężczyzna, podnosząc z ziemi strzęp ciała z ciągnącym się czerwonym rękawem.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się.

Aspirant Konieczny wytrzeszczył oczy i cofnął się o krok.

– Pani Lucja? Cóż za koincydencja!

Rozdział 7

– Sąsiadowi Walusiakowi raz się taka nieprzyjemność zrobiła, że jak znalazł stary granat, umyślił sobie razem ze szwagrem, że wsadzą go do starej stodołki, co to jej już nie potrzebowali, żeby ją jebło, i na rozbiórcę oszczędzą. Ale jak już sąsiad zawleczkę wyciągnął, to mu się drzwi do stodołki zacięły, no i niestety rozniosło go razem ze stodołką – westchnął Władek. – A Walusiakowa to do dziś opowiada, że mu sto razy mówiła, żeby drzwiczki naprawił, a on zawsze, że jutro, jutro, więc go pokarało, że nie posłuchał. No i wtedy też szwagier znalazł tylko rękę. A ile było zachodu, czy to na pewno ręka Walusiaka. A czyja inna mogła być, jak nie jego?

– Po pierwsze, rękę trzeba zabezpieczyć w worku dowodowym – pouczył Władka Konieczny.

Kiedy podkomendny ruszył do samochodu, aspirant zerknął na oderwaną dłoń i pokręcił głową.

– A po drugie, musisz iść na kurs *Rozpoznawanie części ciała i oględziny zwłok denatów zabitych podczas eksplozji niewybuchów*.

– Ale ten akurat wybuchł – zwrócił uwagę Władek.

– Niewybuch często wybucha – uciał Konieczny. – Dlatego się tak nazywa, że nie wybucha aż do chwili wybuchu.

– Znaczy mam zabezpieczyć? – zapytał zdeorientowany Władek.

– Gdyby to była autentyczna część denata, wtedy tak – poinformował go Konieczny. – To jednak jest nieautentyczna część ludzka.

– Znaczy nie zabezpieczać? – dopytywał Władek.

– Zabezpieczyć jako materiał dowodowy w sprawie o spowodowanie zagrożenia życia ludzkiego, ale nie jako część denata – poinstruował Konieczny.

– W innym worku dowodowym? – stropił się jego podwładny.

– W identycznym worku dowodowym, ale z innym opisem.

– No to co zrobić? – zapytał zbity z pantaląku Władek.

Aspirant westchnął teatralnie, podszedł do samochodu, otworzył bagażnik, wyjął worek na dowody i wrzucił tam dłoń.

– To właśnie sam chciałem zrobić – obruszył się Władek.

– Szefie, ja w takiej sprawie, że posiadam kawałek palca – odezwał się głos za nami. Należał do niskiego, grubego mężczyzny trzymającego przed sobą szufelkę. Na niej leżał palec. Wyglądał na wskazujący.

– Nie wolno zamiatać fragmentów dowodowych, w tym palców, na szufelkę – fuknął Władek. – Palec, nawet należący do nieautentycznego denata, należy pozostawić w miejscu, gdzie go znaleziono, a uprawniony organ, czyli na przykład ja, zbierze dowód do worka dowodowego.

– Ale to żona zamiotła – usprawiedliwił się mężczyzna. – I jeszcze jeden leży, to uprawniony organ, znaczy pan, może zebrać.

Władek ruszył po następny worek do samochodu i przystanął na chwilę.

– A, panie aspirancie, czy szczątki nieautentycznego denata można włożyć do jednego worka? Bo mamy tylko pięć worków, a palców pewnie jest więcej.

– Można – warknął Konieczny, wręczając mu worek z dłonią.

Odwrócił się i wbił we mnie spojrzenie.

– Pani Lucjo, za panią wciąż podążają kłopoty. – Zmarszczył brwi. – Ledwo przyjechalismy na święta do teściów, znaczy ja do swoich, a Władek do swoich, ale oni niestety miesz-

kają blisko siebie, ledwo wyskoczyliśmy po zakupy i umyć samochody, to znaczy ja swój, a Władek teściowej, no więc ledwo to zrobiliśmy, a tu wybuch, a przy wybuchu pani. Zachciało się pani wysadzać Mikołaja? Będę musiał spisać protokół.

– To oni. – Wzruszyłam ramionami, wskazując rozradowanych influencerów. – Będą przeszczęśliwi, mogąc wyjaśnić panu sytuację.

– A nam przypadnie kolejka w myjni – skrzywił się Konieczny. – Dwie godziny czekaliśmy, tylko trzy samochody przed nami zostały, a tu wezwanie z centrali. Pani sobie zdaje sprawę, ile trzeba się wyczekać przed świętami na myjni?

Przytaknęłam. Wyglądało na to, że wszyscy mężczyźni w Polsce przed świętami udawali się do myjni, gdzie bezpiecznie spędzali w kolejce kilkanaście godzin we własnym towarzystwie, nie musząc uczestniczyć w przygotowaniach do wigilii.

– Melduję posłusznie, że zanim zbierzemy całego nieautentycznego Mikołaja do worka dowodowego i przesłuchamy sąsiadów, minie Wigilia – zaraportował Władek. – A teściowa na pewno nas zabije. To znaczy moja mnie, a teściowa pana aspiranta – pana aspiranta.

– Wiem – syknął przez zęby Konieczny. – Myślę jednak, że nie będziemy musieli zbierać szczątków i przesłuchiwać sąsiadów. Spiszemy protokół, że Mikołaj uległ samozapłonowi, po czym rozkawałkował się, nie stanowiąc zagrożenia dla okolicznej ludności. Podpiszemy, wrócimy na myjnię, umyjemy samochód twojej teściowej i mój, kupimy prezenty i święta się odbędą.

– Tak jest! – wyprężył się zachwycony Władek. – Czy mogę skorzystać z toalety?

Konieczny machnął ręką, a podkomendny pognął do domu.

– Najgorsze są prezenty – westchnął aspirant. – Gdyby, czysto hipotetycznie, miała pani teściową, pani Lucjo, i, czysto hipotetycznie, musiałyby szybko kupić dla niej prezent, to co by pani wybrała?

– Zależy, co lubi teściowa.

– A gdyby to była hipotetyczna teściowa, której nic się nie podoba? – zastanawiał się głośno Konieczny. – I ryzykowałaby pani, że teściowa rozpakuje prezent, spojrzy na niego krzywo i skomentuje: „Ładne, ładne, ale nie dla mnie”?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dopadł nas Władek i stuknął obcasami.

– Panie aspirancie, melduję posłusznie, że w domu leży następny nieautentyczny manekin, który uległ samoczynnemu wypadkowi, nie stanowiąc zagrożenia dla okolicznej ludności.

Konieczny westchnął ciężko i ruszył w stronę wejścia.

– Melduję, że manekin spadł ze schodów i spoczywa na dole – zaraportował Władek. – Możemy udać się po prezenty.

– Muszę najpierw zrobić wizję lokalną – wytłumaczył Konieczny. – Umieścić wnioski w protokole. Podpisać.

– Tak jest – odparł Władek z kwaśną miną.

Weszliśmy do domu. Na dole schodów leżało powykręcane ciało. Zbliżyłam się ostrożnie. Twarz Ciotki Klotki wyglądała spokojnie, jakby influencerka zasnęła, ale pulsu nie było.

Rozdział 8

Władek siedział ponury na stołku w kuchni, podczas gdy Konieczny spacerował wokół stołu, wykładając teorię.

– Polski policjant, kiedy widzi obywatelkę bądź obywatela leżącego na ziemi w pozycji sugerującej wypadek lub udział osób trzecich, jest zobowiązany do sprawdzenia stanu faktycznego zdrowia obywatela bądź obywatelki, a także, w miarę możliwości, sprawdzenia autentyczności denata lub denatki.

– Kiedy, panie aspirancie, melduję, że rzeczona denatka wyglądała wyjątkowo nieautentycznie – bronił się Władek. – Nikt tak normalnie nie wygląda. Chyba że na filmie.

Cóż, trzeba było mu przyznać choć trochę racji. Ciotka Klotka była ubrana w czerwony obcisły lateksowy kombinezon, na głowie miała czerwoną czapkę Mikołaja, a na dłoniach czerwone szpony Kobiety-Kota-Mikołaja. Jeśli coś takiego istnieje.

– Mówiła, że chce nakręcić filmik o drapieźnej Mikołajorzycy – powiedział Żrekotek. – Fatalnie, taki dobry pomysł się zmarnował. No i mieliśmy już przygotowane pułapki, w które miała wpadać.

– Ale dziwnie leży... – zdziwił się Pan Zdziwko. – Hej, a wyobrażacie sobie, co by było, gdyby kręciła się na telefonie i nagle zginęła na łajwie? Ale by była afera i oglądalność.

– Jakie pułapki? Po wysadzeniu Mikołaja miało już nie być żadnych pułapek – zjeżyła się Joanna Zaraz.

– Pułapki? – Konieczny zmarszczył brwi, wstając z fotela. To jest – usiłując wstać, co nie do końca mu się udało, bo fotel najwyraźniej był mocno przymocowany do jego spodni. – Proszę to natychmiast zdjąć! – oburzył się aspirant, siłując się z fotelem. W końcu, zrezygnowany, usiadł na nim.

– No właśnie takie – odparła Joanna Zaraz. – Powinien pan sprawdzać, gdzie pan siada – dodała z lekką przyganą w głosie.

– Usiadłem w fotelu – zirytował się Konieczny. – Skąd miałem wiedzieć, że został pokryty... właściwie czym?

– Nowy klej, mamy jeszcze całą tubkę – entuzjazmował się Żrekotek. – Trzyma jak cement.

– Świętej pamięci dziadzius też raz się zaklinował w fotelu – stwierdził filozoficznie Władek. – Jak siadł z rozmachem, to go fotel tak ścisnął, że nie mógł wstać. Babcia mu powiedziała, że jakby tyle nie jadł, toby w fotelu nie utknął. Dziadek się zezłościł, ale co mógł zrobić.

– I wstał wreszcie? – zainteresował się Żrekotek.

– Ale dopiero po trzech dniach, bo babcia go nie karmiła, to schudł. Ale taka go złość na ten fotel chwyciła, że postanowił go na opał porąbać. I jak siekierą huknął, to poręcz odleciała i w głowę go uderzyła, więc przez następne trzy dni leżał.

Konieczny usiłował wydostać się z fotela, ale z marnym skutkiem.

– Proszę natychmiast coś zrobić! – zażądał. – Polski policjant nie może siedzieć w obecności denatki przyczepiony do fotela.

– Nic się nie da zrobić – oznajmił Żrekotek. – To znaczy trzeba wyjść ze spodni.

– Mogę przynieść nowe – zaferowała Wilczyca. – Jaki kolor?

– Czarny albo szary – sapnęła wściekły Konieczny.

– Mamy kraciaste, czerwone, żółte i fioletowe. To jakie?

– Ja bym wziął kraciaste – podsunął Władek. – Żona mówi, że w kratce mi do twarzy.

– A jaka to kratka? – spytał podejrzliwie Konieczny.

– Zielono-srebrna albo pomarańczowo-złota – odparła Wilczyca.

– To niech będą czerwone – mruknął aspirant. – Czy obecni mogą na chwilę opuścić pomieszczenie?

Wyszliśmy przed dom. Joanna Zaraz zapaliła papierosa, kręcąc nerwowo głową.

– Fatalna sprawa z tą Ciotką Klotką. Takie nieszczęście! I to akurat w święta, kiedy mieliśmy nagrywać odcinki o tradycji.

Władek stojący dwa kroki od nas zaklął, kiedy podmuch wiatru wyrwał mu z dłoni kilka kartek. Pobiegł za nimi, żeby pozbierać je z ziemi. Ostatnia wpadła w wielką kałużę i policjant usiłował ją rozprostować i oczyścić z błota.

– Takie nieszczęście – biadolił.

– Cóż, na tym polega nasza praca. Ale jako polska policja wyjaśnimy tę sprawę. – Konieczny, który już wyszedł z domu, klepnął Władka po ramieniu. Trzeba przyznać, że czerwone spodnie bardzo aspiranta odmłodziły. Pod kurtką miał też czarną bluzę wykończoną złotym i czerwonym haftem.

– Koszula częściowo sklepiła się ze spodniami – wyjaśnił, łapiąc moje spojrzenie. – Na szczęście mieli coś w moim rozmiarze, co nie było w całości żółte, srebrne ani fioletowe.

– Nieszczęście, lista zakupów wpadła mi do kałuży – jęknął Władek. – Jak nie kupię wszystkiego, to żona mnie zabije. Teść dał mi stówę, żebym kupił sobie coś pod choinkę, i dwie stowy na prezent dla żony.

– To nie kupiłeś nic żonie pod choinkę? – zdziwił się Konieczny.

– Oczywiście, że kupiłem, ale jako mąż, nie jako teść. Znaczy jako jej ojciec – oburzył się Władek. – Jako mąż kupiłem bardzo piękny odkurzacz, i to z turboszczotką. Żona zawsze powtarzała, że jej przyjaciółka ma turboszczotkę i żadne kłaki nie zostają na kanapie, a my takiej nie mamy, więc kłaki zostają. Ale teść dał dwie stowy, żeby kupić coś od niego żonie. Tylko mam napisać, że to od Mikołaja tatusia. Z kolei żona dała mi karteczkę, co kupić teściom od niej, a teraz nie idzie odczytać. Coś jakby „zasuwa”.

– Ma więcej liter. – Konieczny zmarszczył czoło. – Raczej „naczepa”.

– Jaka naczepa? – zdumiał się Władek.

– To nie jest przedmiotem dochodzenia – fuknął aspirant. – Mamy denatkę.

– Jak nie odczytam i nie kupię prezentu teściowej, to będziemy mieli jeszcze denata – mruknął cicho Władek.

Tymczasem na podwórkę wjechał autokar. Na boku miał namalowane roztańczone dziewczyny i, żeby nie było żadnej wątpliwości, napis: Zespół Pieśni i Tańca „Sasanki”. Ledwo przystanął, a z wnętrza wysypał się tłum kilkunastu tancerek w strojach ludowych. Ustawiły się przed autobusem, wzięły pod boki i zaczęły śpiewać koledę.

– „Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi. Wstawaj, Ciotko Klotko, Mikołaj nadchodzi” – zawodziły.

– Mamy to – mruknął operator.

– To nie był najlepszy pomysł. – Joanna Zaraz spojrzała z wyrzutem na Załatwiacza.

– Kto mógł wiedzieć, że Klotka już nie wstanie? – bronił się Darek Wybuch. – Ale gdyby trochę zmienić słowa? Kupa forsy na to poszła, załatwiałem przez tydzień, terminy wszyscy mieli zajęte, bo święta. Szkoda, żeby się zmarnowało. Na przykład: „Spoczywaj w spokoju, Ciotko Klotko, Mikołaj cię nie zbudzi”?

– Nie ma mowy – zaprotestował Konieczny. – Niech oni wszyscy natychmiast stąd odjadą.

– A co z sukienkami? – zapytał Załatwiacz.

– Jakimi sukienkami? – Joanna Zaraz spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Mieliśmy kręcić Klotkę w wypożyczonych sukienkach gwiazd. Przez miesiąc to załatwiałem. Chciała wystąpić w oryginalnej sukience Kaliny Jędrusik.

– A kto to ta Kalina? – zaciekawił się Pan Zdziwko.

- Aktorka – rzuciła nieuważnie Joanna Zaraz.
- A, to nie znam – zmartwił się Pan Zdziwko.
- Mówiłem Klotce, żeby wystąpiła w sukience jakiejś prawdziwej gwiazdy, to nie chciała i jakąś randomową Kalinę sobie wzięła – pożałił się Żrekotek.
- Są jeszcze sukienki Kory i Kayah – wyliczał Darek Wybuch. – Też mają się zmarnować?
- A kto to te Kory i ta druga? – zdziwił się Pan Zdziwko.
- Pewnie też jakieś drugoplanowe aktorki. Mówiłem, że trzeba kogoś znanego – mruknął Żrekotek.
- I sukienka Maffashion – odczytał z kartki Załatwiacz.
- Ja chcę! – wyrwała się do przodu Wilczyca.
- Ja też! – Czerwona Ka zareagowała o ułamek sekundy za późno. Wilczyca już porwała sukienkę i schowała sobie za plecami.
- Nie ma mowy, muszę zebrać zeznania i zamknąć sprawę – zarządził Konieczny. – Wy odjeżdżacie – przerwał śpiewającym Sasankom, które skończyły pierwszą kolędę i właśnie zaczęły Cichą noc. – A państwa zapraszam do środka.
- Wszedł do domu i reszta grupy potulnie podążyła za nim.
- Przyczyną śmierci był upadek ze schodów – dyktował Konieczny Władkowi. – Denatka przewróciła się na nich i spadła, doznając prawdopodobnie urazu czaszki, to ustala dalsze badania. Śmierć nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego...
- Zabójstwa – przerwałam mu.
- Zabójstwa? – Aspirant zmrużył oczy, zatrzymując się w pół kroku.
- Owszem – potwierdziłam. – Świadczy o tym rozpięta na schodach linka, o którą potknęła się Ciotka Klotka. – Wskazałam przezroczystą i niemal niewidoczną, ale mocną jak diabli żyłkę, przywiązaną mniej więcej dziesięć centymetrów nad jednym z górnych stopni. – Zaczepiła nogą i spadła.
- Śmierć nastąpiła w wyniku zaplanowanych działań osób trzecich. – Konieczny zmienił ustalenia. – Jakies pomysły? Jak mogło do tego dojść?
- Melduję, panie aspirancie, że to mogą być zaczepy – powiedział Władek.
- Co takiego? – zdumiał się Konieczny.
- To słowo na kartce od żony – wyjaśnił podkomendny.

Rozdział 9

– Mamy kłopot, pani Lucjo – westchnął aspirant, kiedy wreszcie oderwał się od telefonu. – Nie ma żadnej wolnej ekipy dochodzeniowej. A bez niej nie możemy ruszyć ciała.

– Pewnie pojechali umyć samochody – wtrąciła Joanna Zaraz.

– Jezus Maria, jeszcze samochód, całkiem zapomniałem! – przeraził się Władek. – Czy ta myjnia samoobsługowa jest czynna całą dobę? A byliśmy tylko trzy samochody od celu.

– Wigilia to niezwykle dzień – wyjaśnił Konieczny z namaszczeniem. – Mężowie zjeżdżają do żon, małżeństwa do teściów, teściowie do siebie nawzajem. Dzienny wskaźnik zabójstw skacze o czterysta procent.

– U nas na wsi nie było Wigilii bez rozróby – przypomniał sobie Władek. – Raz jak do starego Maciary zjechała rodzina, to się zięciowie pobili. Dwóch wylądowało w szpitalu, a trzeci na cmentarzu. Ale że trzeci był ten najgorszy, to wszyscy się ucieszyli.

– A kogo wsadzili? – zainteresował się Konieczny.

– Nikogo – zdumiał się Władek. – Rodzina i sąsiedzi zaświadczyli, że popełnił samobójstwo przy wigilijnym stole. Jak zobaczył, że nie ma śledzia, to z tej rozpaczki dźgnął się nożem i terminował sobie życie.

– A ile razy się dźgnął? – dociekałam.

– Z piętnaście. – Władek pokiwał głową.

– I policja uwierzyła w teorię o samobójstwie? – zdziwił się Konieczny.

– Co miała nie uwierzyć, skoro wszyscy świadkowie zgodnie przyznawali, że siedział i się dźgał?

– A ci dwaj, co w szpitalu wylądowali? – indagował aspirant.

– Zeznali, że pobili się z tej załości, że Andrzej terminował życie, jak nie było śledzia. Ale żaden nie wniósł skargi na drugiego, no to ich zwolnili. A parę lat potem z kolei, też w Wigilię, teście Walusiów tłukli się z teściami Ciupaków, aż stodoła poszła z dymem i cała wieś, zamiast na pasterkę, przyleciała ich oglądać. Nawet zakłady przyjmowali, którzy wygrają. Bo ten teść Waluś to był wielki chłop, silniejszy niż Ciupak chucherko. Ale z kolei Ciupakowa była wielce zażarta i Walusiową mogła rozłożyć w pół minuty, więc wynik był niepewny. Nawet posterunkowy Matyjek nie wiedział, na kogo postawić.

– To znaczy, że policja była na miejscu i nie interweniowała? – Konieczny wyglądał na wstrząśniętego.

– A jak miał Matyjek interweniować, kiedy Walusiowa to jego ciotka, a Ciupak to brat szwagra? Kogo by nie zamknął, niedobrze – wyjaśnił Władek. – Dopiero jak stodoła zaczęła się palić, zadzwonił po grupę interwencyjną z Białegostoku. Ale że chłopaki akurat zajmowali się zadumą w Sokółce, bo tam się ludzie pobili o kazanie księdza proboszcza na pasterce, to dopiero następnego dnia przyjechali. I Walusiowie, i Ciupakowie zeznali, że stodoła uległa samospaleniu.

– Dziś oczywiście takie przypadki nie mają miejsca – chrząknął Konieczny, zwracając się w stronę influencerów. – Inspektor Wąski, mój zwierzchnik, za nic by nie dopuścił do tak skandalicznego zaniedbania obowiązków.

– To znaczy, że Ciotka Klotka ma tak przeleżeć całe święta? – zmartwiła się menedżerka.

– Oczywiście, że nie – wyjaśnił aspirant z marsową miną. – Polska policja do tego nie dopuści. Ekipa zjawi się w swoim czasie, a do tego momentu zabezpieczymy miejsce przestępstwa za pomocą nowego wyposażenia, które właśnie pobraliśmy z magazynu już na cały przyszły rok z góry. Jak pani może pamiętać, pani Lucjo, kiedyś mieliśmy przejściowe

kłopoty z dyspozycyjnością taśmy, worków na dowody, zestawu do zbierania odcisków palców i tak dalej. Ale teraz na szczęście dysponujemy zapasem nawet na dwoje lub troje denatów.

– Spodziewa się pan więcej trupów? – zainteresował się Darek Wybuch.

– Skoro, jako policja polska, jesteśmy już na miejscu, to rzecz jasna nie – odparł szybko Konieczny. – Natomiast, jak mawia inspektor Wąski: „Chcesz pokoju, szykuj się na wojnę”.

– Ale z kim? – chciał wiedzieć Władek.

– Ze światem przestępczym – wyjaśnił aspirant.

Podkomendny pokiwał głową.

– Dziadzius też tak mawiał. Zawsze trzymał śrutówkę na widoku i jak słyszał podejrzany odgłos, to wypalał. Raz trafił starego Małygę, bo jak Małyga wracał po pijaku, pomylił domy i zaczął się dobijać do chałupy dziadunia.

– I co, przeżył? – zapytał Konieczny.

– Co miał nie przeżyć? Tylko siadać na tyłku nie mógł trzy miesiące. Ale urazy do dziadunia nie chował, bo wiadomo, że jak ktoś się po nocy dobija, to ze śrutówki może obebrać...

– Przynieś taśmę i worki. – Konieczny uciął te wspomnienia. – A pani co sądzi o tym morderstwie, pani Lucjo? – zwrócił się do mnie.

– Czyżbym po raz kolejny dołączyła do ekipy? – zapytałam.

Policjant westchnął ciężko i łypnął na mnie spod oka.

– Każdy obywatel, któremu leży na sercu praworządność i duch oraz litera prawa, może być poproszony przez policję o współpracę. Chyba leży pani na sercu praworządność?

– Oczywiście – przyznałam. – Duch i litera też. Proszę sobie wyobrazić, jak bardzo nadwątlił się ten duch, a także litera, kiedy dostałam mandat za przekroczenie prędkości za znakiem ograniczenia z powodu robót, które dawno się skończyły.

– Litera prawa powinna być przestrzegana – pouczył mnie Konieczny.

– Litera mówi, że mam dużo zajęć związanych z moją pracą. – Rozłożyłam bezradnie ręce.

– Zobaczę, co da się zrobić – westchnął aspirant. – Dużo tych liter?

– Od A do N.

– Piętnaście mandatów? – Aspirant wytrzeszczył na mnie oczy.

Wytrzymałam jego spojrzenie.

– Niech będzie. – Potarł czoło i schował do aktówki plik mandatów, które, tak się żyło, trzymałam akurat w dłoni.

– Panie aspirancie, melduję posłusznie, że wszystko zniknęło – powiedział za plecami Koniecznego Władek, który wrócił z samochodu.

– Co zniknęło? – zdziwił się Konieczny.

– Wszystko. Taśma, proszek, torebki, nawet urwana dłoń Mikołaja. Melduję, że zostaliśmy okradzeni.

Rozdział 10

Wolfgang Amadeusz Konieczny wyglądał na kompletnie załamane. Krążył po hallu, mówił sam do siebie i od czasu do czasu uderzał jedną dłoń o drugą.

– To niemożliwe! Jakim cudem do tego doszło? Dlaczego nikt nigdy nie ukradł nikomu nic z auta, tylko mnie? I jak ja mam to zgłosić? Koledzy dostaną apopleksji ze śmiechu. A nie to będzie najgorsze. W końcu cała sprawa dojdzie do inspektora Wąskiego. Zwolni mnie jak nic. Policjanta, który dopuszcza do tego, żeby ktoś kradł mu sprzęt do zbierania śladów. I w dodatku przydział na cały rok! Tak, to już koniec. Ogłoszenia o pracy. Gdzie znajdę ogłoszenia o pracy?

Chrząknęłam cicho, przerywając ten monolog.

– Jak sądzę, wszystko da się odzyskać – zasugerowałam.

– Pani Lucjo, zostałam wyrzutkiem, pośmiewiskiem. Policjantem, który dał się okraść z rocznego przydziału materiałów służbowych. – Spojrzał na mnie żałośnie.

– Wszystkie te rzeczy, jak mniemam, są właśnie używane do nowych challenge'ów – wyjaśniłam.

– Co takiego? – Konieczny nie zrozumiał.

– Grupa Ciotki Klotki robi takie wyzwania. Filmują je. I ciągle potrzebują do tego nowego sprzętu – wytłumaczyłam nieco dokładniej. – Właśnie widziałam jednego z chłopaków, jak biegnie gdzieś z taśmą policyjną.

– Ja im pokażę, jak to jest drwić z polskiej policji! – Konieczny zacisnął zęby. – Wszystkich zamknę. To sabotaż!

– Nie sądzę, żeby rozmawiali w takich kategoriach – ostrzegłam. – Raczej zrobili to dla zabawy. Wie pan: nowe przedmioty, nowe pomysły, nowe lajki.

Konieczny nie dał po sobie poznać, że nie ma pojęcia, co to są lajki.

– Ale żeby taśmę policyjną? Worki na dowody? Zestaw do zbierania odcisków palców? – pieniał się dalej.

Wpadł do dużej sali, która pełniła funkcję studia. Każdą ze ścian pokrywała inna fototapeta. Na jednej była rajska plaża i ocean z palmami, a na podłodze przed nią prawdziwa miniplaża usypana ze złotego piasku. Na drugiej ścianie widniała panorama Nowego Jorku i tu stała żółta nowojorska taksówka. Co prawda nie cała, tylko maska ze światłami. Na trzeciej był las. I właśnie tutaj chłopaki rozpinali taśmę policyjną, znakomicie się przy tym bawiąc.

– Dobrze, że pan jest – ucieszył się Pan Zdziwko na widok aspiranta. – Mówię temu kreatynowi – wskazał na Żrekotka – że z taśmy policyjnej nie robi się girland. A on swoje.

– Absolutnie wykluczone jest zarówno robienie girland, jak i samowolne zagarnianie taśmy. – Konieczny, cały purpurowy, zaczął zrywać taśmę udrapowaną przez Żrekotka. – To kradzież materiałów operacyjnych, grozi za to kara do pięciu lat pozbawienia wolności. Gdyby inspektor Wąski dowiedział się o tym zuchwałym przywłaszczeniu...

– Jeju, ale by wtedy było, warto by nakręcić – zachwyił się Żrekotek. – Ten inspektor jest straszny?

– Czy inspektor Wąski jest straszny? – Koniecznemu z wrażenia zabrakło tchu. – Kiedy dusiciel z Karczewa spotkał inspektora Wąskiego, wyznał potem, że nigdy w życiu nie był bardziej przerażony. A przecież wcześniej udusił pięć osób.

– To koniecznie trzeba z tym wąskim gościem nakręcić filmik – uznał Pan Zdziwko.

– Zestaw do badania śladów też otwarty – oburzył się Konieczny.

– Tak, ale on nie jest filmowy – skrzywił się Żrekotek. – Myślałem, że w środku znajdę jakąś wielką lupę, proszek do sypania, takie rzeczy.

– A taśma pognieciona – biadał aspirant. – I w dodatku pocięta. Nie do użycia. A gdzie tabliczki i numerki do oznaczania dowodów?

– Na stole w jadalni – odparł Pan Zdziwko. – Oznaczyliśmy potrawy. Wyszło zajebiście.

Konieczny ukrył twarz w dłoniach, a potem otrząsnął się i ruszył do jadalni. Numerki do oznaczania dowodów rzeczywiście stały przy potrawach. Numer jeden znajdował się przy misie z hot dogami, w tej chwili pustej.

– Ktoś zezarł hot dogi – zdumiał się Pan Zdziwko.

– Poczęstowałem się, operator pozwolił. Od rana nic nie jadłem – usprawiedliwił się Władek, oblizując palce.

– To były hot dogi do challenge’u z ostrości. – Żrekotek wytrzeszczył oczy. – Zjadłeś wszystkie?

– Było tylko pięć – krygował się Władek. – No i kiedy zjadłem pierwszego, jakoś tak naszła mnie ochota na drugiego...

– Ale że wszystkie? – zdumiał się Żrekotek. – One były skropione sosem z papryki carolina reaper. Nikomu nie udało się zjeść więcej niż jednego naraz. Pięć?

– Mam to nagrane – mruknął operator.

– Wrzucamy na kanał – ucieszył się Żrekotek. – Nazwiemy faceta Hotmanem.

– Albo Chilimanem – zaproponował Pan Zdziwko.

– Nic podobnego, nie ma mowy o żadnym Chilimanie – zaprotestował Konieczny. – Polski policjant nie może brać udziału w challenge’ach czy jak to się tam nazywa.

– Zapikselujemy go – zdecydował operator.

– Zabraniam – wyrzęził Konieczny i spojrział na mnie z rozpaczą. – Pani Lucjo, czy oni w ogóle słyszą, co ja mówię?

– Z pewnością – pocieszyłam go.

– Chiliman ma już tysiąc wyświetleń – ucieszył się Żrekotek.

Władek rozdziawił usta.

– Tysiąc trzysta! – Pan Zdziwko aż podskoczył.

– Tysiąc czterysta. – Władek nie odrywał wzroku od ekranu komórki. – Wciąż idzie w górę. Ktoś napisał: „W porzo gość”.

– Natychmiast przestań liczyć – zażądał Konieczny. – Wyobrażasz sobie, co by powiedział inspektor Wąski, gdyby zobaczył swojego podkomendnego zjadającego hot dogi na wyścigi?

– Melduję, że to był niezwykły wyczyn – wyprężył się Władek. – Nikt nie zdołał zjeść więcej niż...

– Wiem – przerwał mu zirytowany Konieczny. – Na razie mamy za zadanie odgrodzić miejsce, gdzie leży denatka, a cała taśma jest pocięta i do niczego się nie nadaje.

– Mamy dużo łańcuchów na choinkę – podsunęłam. – Oraz zestawy lampek. Niebieskich.

– Będzie pięknie – zachwyił się Władek. – Pod kolor koguta z radiowozu.

Konieczny przez chwilę oddychał. Głęboko. W końcu powiedział:

– Pani Lucjo, gdyby inspektor Wąski nadjechał i zobaczył zwłoki odgrodzone lampkami choinkowymi...

– Z pewnością pochwaliby autora pomysłu za kreatywność – weszłam mu w słowo. – Kiedy inspektor Wąski ścigał Łomiarza z Józefowa, musiał go tymczasowo uwięzić i użył do tego celu toi toia, a teren przestępstwa ogrodził krepiną ze sklepu GS.

– Nie znałem tej historii. – Konieczny zmarszczył brwi.

– Podkreśla ona olbrzymią siłę kreacji i szybkość umiejętności przystosowania się do sytuacji oraz wykorzystania elementów znajdujących się pod ręką – zwróciłam uwagę. – Czyli

aspekty pracy policji szczególnie popierane przez inspektora Wąskiego.

– Ma pani rację – ucieszył się aspirant. – On zawsze powtarza, że liczy się wyobraźnia.

Gdzie są te lampki? Władek!

– Lampiony? – zastanowił się podkomendny.

– Co takiego? – zdumiał się Konieczny.

– To zamazane słowo z listy zakupów. Czy to mogą być lampiony? Ale skąd ja wezmę lampiony?

– Załatwi się. – Darek Wybuch machnął ręką.

Rozdział 11

– Ładnie wyszło – ocenił Władek, patrząc z dumą na instalację, której był autorem. Ciotka Klotka została przykryta drapowaną narzutą Versace z wielką firmową głową Meduzy. Zarówno schody, jak i przestrzeń wokół ciała otaczały migające niebieskie lampki, a całości dopełniały czerwone łańcuchy.

– To ja tylko skoczę do swojego pokoju. – Wilczyca uśmiechnęła się chytrze, usiłując prześlizgnąć się pod girlandami, żeby wejść na schody.

– Wykluczone! – krzyknął Konieczny, łapiąc ją za rękę. – Ta taśma ma zapobiegać kontaminacji śladów.

– To jak zmienię ciuchy? – zdumiała się dziewczyna.

– Nie zmieni pani. Nikt nie zmieni. Wszyscy będziemy czekać w jednych i tych samych ciuchach, aż pojawi się ekipa techniczna – fuknął aspirant.

Wilczyca otworzyła usta ze zdumienia, ale Konieczny nie zwracał już na nią uwagi.

– Potrzebuję odosobnionego miejsca, gdzie będę mógł prowadzić przesłuchanie.

– Najlepszy będzie pokój kąpielowy. – Menedżerka wskazała drzwi na lewo od salonu.

– Łazienka? – skrzywił się policjant. – Polska policja nie może przesłuchiwać podejrzanych o morderstwo w łazience.

– Nie, to pokój kąpielowy – sprostowała Joanna Zaraz.

Pomieszczenie było wielkości salonu. Honorowe miejsce zajmowało sześćosobowe jacuzzi, ale znalazły się tam też dwie kanapy, kilka palm oraz stolik kawowy. A także wanna oparta na lwich łapach.

– Te krany chyba są ze złota. – Władek aż gwizdnął z podziwu.

– Są ze złota – potwierdziła menedżerka. – Mamy tu wygodne kanapy, ciszę, spokój...

– Prawdziwe złoto? – dociekał Władek, wodząc dłonią po kurkach.

– Oczywiście.

– I nikt nie ukradł?

– Mało kto wierzy, że krany mogą być złote – wyjaśniła Zaraz.

– Może tylko pomalowane na złoto? – Władek nie dowierzał. – U nas koło Sokółki był taki milioner, chałupę postawił, trzydzieści pokoi i złote krany w łazience, ale chłopaki, co wykańczały, mówiły, że wcale nie złote, bo zębami próbowały.

– Te na pewno są złote – zapewniła menedżerka.

– Jakim cudem w ogóle stać ich na ten dom, te krany, to wszystko? – Konieczny zmarszczył brwi.

– Wpływy od sponsorów, opłaty za wyświetlenia, kontrakty reklamowe. – Joanna Zaraz wzruszyła ramionami.

– A to ile można zarobić za taki filmik, żeby starczyło nawet na kran ze złota? – zdumiał się aspirant.

– Podam panu przykład. Za materiał z odkurzaczem, gdzie chłopaki robili challenge, co da się wciągnąć przez rurę, zarobiliśmy ponad pół miliona.

– Za jeden filmik?

– A za kontrakt na chrupki ziemniaczane dwa miliony.

– A, powiedzmy, za film o hot dogach? – zainteresował się Władek.

– To zależy, ile wynegocjowałby autor i jak bardzo jest znany. Jak nieznany, to niestety. – Menedżerka pokręciła głową.

– Szkoda – westchnął Władek.

– Kilka, może kilkanaście tysięcy.

- Ile? – Brwi policjanta podjechały w górę o dobre kilka centymetrów.
- Mówiłam, że niedużo.
- Jednym słowem, oni bardzo dobrze zarabiają – upewnił się Konieczny. – I dzielą się po równo?
 - Niezupełnie – przyznała Joanna Zaraz. – Ciotka Klotka, jako założycielka grupy, brała więcej. Niestety nie mogę zdradzić ile, zapisy w umowach...
 - Ależ może pani – powiedział aspirant surowo. – Nie chce się pani chyba narazić na zarzut utrudniania śledztwa.
 - Powiem nieoficjalnie. – Joanna Zaraz ściszyła głos. – Potrójną stawkę.
 - A co będzie po jej śmierci?
 - Będą się dzielić po równo – wyjaśniła.
 - Co dla każdego z zatrudnionych będzie oznaczało podwyżkę o... – Konieczny czekał na dokładne liczby.
 - Oni nie są zatrudnieni.
 - Mniejsza z tym. Ile więcej będą zarabiać? – zniecierpliwił się.
 - Nieoficjalnie jakiś milion złotych – zdradziła Joanna Zaraz.
 - Na wszystkich do podziału? – dopytywał aspirant.
 - Na głowę.
 - To świetny motyw – zauważył Konieczny i nagle na jego twarzy odmalowało się zdumienie. – Władek, dlaczego gryziesz kran?
 - Melduję, że rzeczony kran naprawdę jest zrobiony ze złota, co potwierdziła analiza organoleptyczna – zaraportował podkomendny.

Rozdział 12

– A pani co robiła, kiedy zginęła Ciotka Klotka? – zapytał Konieczny menedżerkę. – Jak ona się naprawdę nazywała?

– Justyna Chwedeńczuk – przypomniała Joanna Zaraz.

– Przez ce ha...? Nieważne. Zostanmy przy Ciotce Klotce – zdecydował policjant.

– Dzwoniłam do inwestorów. – Zaraz zerknęła na listę połączeń w komórce. – Właściwie non stop.

– Każdy może tak powiedzieć. Poza tym można rozmawiać i jednocześnie rozpinać linkę na schodach.

– Nie można. To były wideopłączenia – broniła się Joanna Zaraz.

– Wyjaśnimy to później – uznał Konieczny. – Kiedy pozostali przypomną sobie, co robili mniej więcej pół godziny przed śmiercią Justyny... Justyny... Ciotki Klotki. Czyli jakieś trzydzieści do czterdziestu minut od czasu, kiedy Władek poszedł się wy... do toalety. Bo nie sędzę, żeby mogła tam leżeć dłużej i nikt jej nie zauważył. A oni ciągle latają na górę i na dół, więc gdyby żyłka była rozpięta wcześniej, ktoś by o nią zawadził – roztoczył przed nami logikę swojego rozumowania.

– To nie będzie problemem. Może pan sam ich o to zapytać. – Menedżerka uśmiechnęła się. – Proszę za mną.

Aspirant uniósł ze zdumieniem brwi, ale posłusznie poszedł za nią do salonu.

Joanna Zaraz zaklaskała w dłonie, żeby przykuć uwagę influencerów.

– Policja ma pytanie, co robiliście pół godziny przed śmiercią Ciotki Klotki. Czyli...

– Od jakiejś dwunastej dwadzieścia. Wiem, że to trudne, i chciałbym, żebyście się skupili – dodał poważnym tonem Konieczny. – Określenie czynności wykonywanych w tym czasie pozwoli nam zrekonstruować przebieg wypadków.

– To proste – ucieszył się Żrekotek. – Przygotowywałem Mikołaja do wybuchu z Panem Zdziwko.

– To kto w końcu wybuchł? – Konieczny nie zrozumiał.

Wyjaśniłam mu na ucho.

– A ja nagrywałam siebie do filmiku o metamorfozach – powiedziała Wilczyca.

– O czym? – Aspirant nie załapał.

Tu już nie musiałam wyjaśniać, sama to zrobiła.

– Jak się zmieniam i najpierw jestem brzydka, a potem piękna. Z reguły zajmuje mi to pół godziny.

– I ma to pani nagrane?

– Co do minuty. – Wilczyca uśmiechnęła się.

– A ja robiłam unpacking – dodała niepytana Czerwona Ka.

– Słucham? – Konieczny otarł pot z czoła.

– Otwierałam paczkę – wyjaśniła dziewczyna.

– A przez pozostałe pół godziny?

– Otwierałam ją czterdzieści pięć minut – referowała Czerwona Ka. – Jak jest krócej, to klikalność spada. Wszystko mam nagrane.

Aspirant spojrział na mnie z rozpaczą.

– Anpaking? – zapytał słabym głosem.

– Taki gatunek filmików, w których rozpakowuje się pudełka z niespodzianką. Zwykle trwają kilkanaście albo kilkadziesiąt minut, napięcie narasta jak u Hitchcocka – zlitowałam się nad nim.

– Napięcie? – zdumiał się Konieczny.

– Niepewność potęgowana brakiem wiedzy, co znajduje się w środku.

– W życiu nie dostałem paczki z nieznaną zawartością. A nawet jakbym nie wiedział, co jest w środku, tobym po prostu otworzył i sprawdził – westchnął policjant.

– A ja raz dostałem – przypomniał sobie Władek. – Ze dwa lata temu przynieśli mi taką wielką pakę. Żona awanturę już mi zrobiła, zanim rozpakowałem, bo myślała, że to telewizor. Tłumaczę jej, że przecież mamy, a ona mi mówi, że już ona mnie zna, na pewno kupiłem następny. Tylko że ten anpaking wyszedł mi szybciej, tak poniżej minuty, bo cały czas stała mi za plecami i przypominała, że jak to telewizor, to się wyprowadza.

– I co to było? – zainteresował się Konieczny.

– Telewizor – przyznał Władek. – Tyle że przesyłka była adresowana do innego Władysława, ale zanim sprawa się wyjaśniła, żona wyjechała do teściowej. Ale jak wróciła...

– Chyba nie chcę wiedzieć, co było potem – przerwał mu aspirant. – Chcę poznać alibi wszystkich podejrzanych.

– Ja nagrywałem Pana Zdziwko i Żrekotka, jak przygotowują challenge z Mikołajem. Zawsze nagrywam – wzruszył ramionami operator.

– A ja pomagałem doczepić renifera – dorzucił Darek Wybuch.

– Wspaniale, wszyscy mają żelazne alibi – warknął Konieczny.

– Melduję, że ja bym się tak nie cieszył, panie aspirancie. – Władek przyjął służbową pozę.

– To było ironicznie – jęknął jego szef. – A może sama się zabiła? Miała dosyć tego całego b... – Rozejrzał się dookoła.

– Bogactwa? – dokończył Władek.

– Miałem na myśli niecenzuralne słowo na b – wyjaśnił Konieczny. – Ale polski policjant nie może używać go na służbie, a i poza służbą nie powinien. Powiedzmy więc, że może miała dosyć tej nieznośnej presji.

– Panie aspirancie, melduję, że ta presja jest znośna. – Podkomendny zerknął w komórkę. – Chiliman ma już pięćdziesiąt tysięcy wyświetleń. I dwieście komentarzy. Piszą o nim... to znaczy o mnie: „twardy gość”. Albo: „dawać go do rządu”. O, jest jeszcze: „odporny, ale morda wredna”. – Mina Władka się wydłużyła. – A to podpada pod paragraf o zniesławieniu.

Konieczny udawał, że nie słyszy.

– Może było tak: ta Ciotka Klotka robi się coraz bardziej popularna, ma jeszcze więcej oglądających, ale grozi jej koniec kariery, bo liczba złośliwych komentarzy rośnie – ciągnął niezrażony. – Rozpina więc zyłkę u szczytu schodów, żeby się o nią potknąć i spaść.

– Gdyby chciała po prostu zlecieć ze schodów, nie potrzebowałaby linki – zwróciłam mu uwagę.

– Poza tym melduję, panie aspirancie, że można zlecieć i nic sobie nie zrobić – wtrącił Władek. – Był u nas na wiosce taki Rycho, co na każdym weselu spadał ze schodów i nic. Raz to nawet z drugiego piętra zleciał, wstał i poszedł się napić. A jak się napił, to do auta wsiadł, ale w drzewo uderzył. Wysiadł i wpadł do studni, ale dalej nic mu się nie stało, tyle że trochę wytrzeźwiał w wodzie...

– No to miał szczęście – przerwał zniecierpliwiony Konieczny.

– Nie do końca, bo jak wylazł ze studni, to poszedł zaprząc konia do wozu i jak podszedł do niego od tyłu, to koń Azor strzelił go kopytem i na miejscu zabił. Do Azora nie podchodzi się po pijaku, każdy to wie.

– Ciotka Klotka miała podpisywać intratne kontrakty – weszłam Władkowi w słowo. – Nie miała żadnego powodu, żeby spadać ze schodów.

– Reasumując – aspirant postukał długopisem w kartkę papieru – wszyscy mają alibi, denatka chciała pożyczć, my nie mamy nic. Nawet taśmy do odgrodenia miejsca zbrodni, bo

ci tu gwizdnęli, a potem zniszczyli. A inspektor Wąski na wigilijnej kolacji otrzyma informację, że Konieczny nie radzi sobie z trupem osoby medialnej. To już koniec.

– Może w takim razie lepiej pojedziemy po te zakupy, skoro i tak wszystko stracone? – zapytał Władek z nadzieją. – Wtedy przynajmniej ani żona, ani teściowa mnie nie zabije.

– Jasne – mruknął aspirant.

Ucieszony podkomendny zerwał się na równe nogi.

– Może kolejka w myjni nam nie przepadła.

– Pani Lucjo. – Konieczny zerknął na mnie zmęczonym wzrokiem. – Niech pani mu coś powie i wyjaśni.

– To był sarkazm – zwróciłam się do Władka. – Złośliwa ironia lub szyderstwo.

Władek tylko zrobił wielkie oczy i zamilkł.

Rozdział 13

– Interesuje mnie, pani Lucjo – snuł dywagacje Konieczny – skąd oni biorą te wszystkie rzeczy. A szczególnie materiały wybuchowe. Sama pani rozumie: mogli spowodować tę eksplozję specjalnie, żeby zagłuszyć dźwięk spadającego ciała.

Ciało po upadku nie stanowiło już dla mordercy problemu, raczej martwił się zapewne wcześniej, jak do tego upadku doprowadzić. Ale postanowiłam nie podpowiadać.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – powiedziałam i wyruszyliśmy na poszukiwanie Załatwiacza.

Darek Wybuch był człowiekiem bardzo zajęтым. Co najmniej dwa z jego trzech telefonów nieustannie dzwoniły, wtedy mężczyzna zerkał na wyświetlacz i większość połączeń odrzucał. Z tym że tych nieodrzuconych też było dużo.

– Ale to już naprawdę muszę odebrać – usprawiedliwił się po raz kolejny.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa – przypomniał Konieczny surowo.

Załatwiacz zamienił dwa słowa przez komórkę, rozłączył się i uśmiechnął się do policjanta.

– Oczywiście. Jak mogę pomóc?

– Skąd pan bierze materiały wybuchowe? – Aspirant przybrał srogą minę.

– Tajemnica zawodowa – wyjaśnił Wybuch z powagą. Zerknął na wyświetlacz i odrzucił kolejne połączenie.

– Jesteśmy z policji – zezłościł się Konieczny.

– Wśród załatwiaczy mamy zasadę, że nie zdradzamy kontaktów ani metod. Bardzo mi przykro – westchnął Załatwiacz. Dwa z jego telefonów zadzwoniły jednocześnie. Nie odebrał żadnego.

– Wsadzę pana! – Policjant poczerwieniał na twarzy.

Darek Wybuch rozłożył ręce.

– Za zdradę kontaktów mógłbym zostać usunięty z nieformalnego związku załatwiaczy. A to by była dla mnie katastrofa zawodowa. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

– Moment – wtrąciłam się. – Jak sądzę, może pan zdradzić kilka szczegółów Home Disaster Manager zatrudnionej przez tę samą grupę influencerów co pan.

– Właściwie to tak – uznał Załatwiacz. – Oczywiście nieoficjalnie. Powiedzmy, że wojsko wyciąga pomocną dłoń. Jest taki Śmiałkowski. Ostatnio załatwiał coś do restauracji.

– W ostatnią sobotę? – W oczach policjanta zapalał się dziwny błysk.

Wybuch potwierdził skinieniem głowy.

– Wyleciała w powietrze restauracja Bazylia – wyjaśnił mi Konieczny. – Nie było żadnych śladów prowadzących do sprawców. Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Aspirant Ledwoń ustalił tylko, że Bazylię wysadzono, ale to było wiadomo od początku. Inspektor Wąski był bardzo niezadowolony z efektów dochodzenia.

– Zgadza się, Śmiałkowski – potwierdził Darek Wybuch. – Materiał C4.

– Niesamowite! – ekscytował się aspirant. – Rozwiązałem zagadkę eksplozji w Bazylii.

Załatwiacz zerkał na telefony, bo akurat dzwoniły wszystkie trzy. Wybrał środkowy.

– Nie mogę teraz – rzucił do słuchawki. – Tak, sondaże na jutro.

– Każdy może sobie ot tak załatwić materiał wybuchowy? – drażył temat Konieczny.

– Nie każdy – zaprzeczył Wybuch. – Dzwonię do Tomka, on dzwoni do Patryka, ten do Jurka, a w końcu dochodzi do Śmiałkowskiego.

– I ten Śmiałkowski wszystko załatwia – upewnił się policjant. – Na przykład karabin by załatwił?

– A, to nie. Jak karabin, to Rubinowicz.

– Niesamowite – zdumiał się Konieczny. – Miesiąc temu aspirant Gzégzółka szukał kanału, jakim gangsterzy z grupy Błońskiej zdobyli karabin.

– Rubinowicz, przecież mówię – powtórzył Darek Wybuch.

– Cóż za koincydencja! – zakrzyknął policjant. – Inspektor Wąski był bardzo niezadowolony, że nie dało się ustalić, skąd wziął się ten karabin w rękach przestępców.

– Rubinowicz.

– Zapisałem. – Konieczny cieszył się jak dziecko. – A ten człowiek to co jeszcze załatwia?

– Tylko karabiny. Ma wąską specjalizację – wyjaśnił Załatwiacz.

– A jakby miał pan zlecenie na, bo ja wiem... Na przykład na wóz opancerzony? – zainteresował się aspirant.

– To dzwonię do Tomka, on do Patryka...

– Tak, tak. – Konieczny przerwał mu niecierpliwie. – I dociera pan do...?

– Do Elki Plaskacz – wyjawiał dobrze poinformowany Wybuch. – Właśnie niedawno miała zlecenie na wóz opancerzony.

– Nie może być! – Policjant przetaił oczy ze zdumienia. Wyciągnął komórkę i wykręcił numer.

– Były jakieś zgłoszenia, że zaginął wóz opancerzony? – zapytał. – Aha. Konieczny rozłączył się i spojrzal na Wybucha.

– Żaden wóz opancerzony nie zaginął.

– Założymy się? – Mężczyzna uśmiechnął się.

Aspirant dalej wertował notes.

– A zniknięcie rolls royce’a sprzed Urzędu Rady Ministrów?

– To załatwił Okruszek. Tak go nazywamy, bo waży sto pięćdziesiąt kilo – wytłumaczył Darek Wybuch.

– Niezwykle – mruzczał Konieczny. – Kolejna rozwiązana sprawa, na której położono już kreskę. Inspektor Wąski będzie zachwycony.

W tym momencie zadzwoniła komórka aspiranta, który słuchał przez moment, a potem się rozpromienił.

– Dopiero teraz dostali zgłoszenie. Chodzi o ten wóz opancerzony.

Nagle Konieczny znowu się zamyślił, a na czole pojawiła mu się pionowa zmarszczka.

– Czyli obywatel, powiedzmy ja, może przyjść i złożyć zamówienie, a pan załatwi? – spytał.

– Mówię przecież. – Załatwiacz zniecierpliwiał się lekko.

– A taśmę policyjną mógłby pan załatwić? Taką do odgradzania miejsca zbrodni?

– Żaden problem. Ile trzeba?

Policjant przełknął ślinę.

– Tak z pięćset metrów. Dałoby się?

– Żaden problem – powtórzył Wybuch i zapisał w notesie. – Myślałem, że jakąś poważną prośbę panowie mają. Taśmy to mogą nawet kilka kilometrów, tylko muszę zadzwonić do...

Konieczny nie pozwolił mu skończyć.

– To można by zorganizować więcej wyposażenia policyjnego?

– Co tylko pan sobie życzy.

– Kombinezony sterylne, worki na dowody...

– Jednym słowem, sprzęt do zabezpieczania i dokumentacji miejsca przestępstwa – podsumował Załatwiacz.

Aspirantowi zaświeciły się oczy.

– Są trudności rynkowe z nabyciem tych przedmiotów – wyjaśnił. – Oczywiście tylko przejściowe.

– Wszystko wykupują firmy eventowe, które inscenizują sceny zbrodni i robią integracje team buildingowe – zdradził Wybuch.

– Firmy, które organizują spotkania dla pracowników innych firm, żeby się polubili i żeby potem lepiej im się pracowało – wytłumaczyłam, widząc minę Koniecznego.

– Znaczą integrują się zbrodnią? – Policjant zmarszczył brwi.

– Trup znakomicie integruje – przytaknął Darek Wybuch. – Tu obok jedna z firm ma właśnie integrację, zadzwonię do Maćka, na pewno mają jakąś taśmę i kombinezony na zbyciu.

Po twarzy aspiranta było widać, że targają nim rozterki. Dobrze go rozumiałam. Z jednej strony pewnie wyobrażał sobie, jak wchodzi na komendę obładowany taśmą, kombinezonami i wszystkim, czego brakowało, jak myśliwy wracający z mamutem, i macha nie dbale ręką w odpowiedzi na pytania: „Jak tego dokonałeś?” i „Czy było niebezpiecznie?”. Z drugiej strony tu, na miejscu, miał prawdziwego trupa i prawdziwe śledztwo, które musiał dokończyć.

– Daleko do tego Maćka? – zapytał.

– Pięć minut. – Załatwiacz uśmiechnął się. – Załatwić?

Burza uczuć znowu odmalowała się na twarzy policjanta. Postanowiłam się zlitować i podjąć decyzję za niego.

– Jedziemy – rzuciłam.

– Ale... – zaczął Konieczny.

– Nienawidzę tego słowa – przypomniałam mu. – Za pół godziny będziemy z powrotem. Nie pożałuje pan.

Rozdział 14

Ciało leżało jak szmaciana lalka ciśnięta niedbale w kącie. Ręka wysunięta w dziwnym geście, rozrzucone nogi. I krew rozlewająca się dookoła, tworząc ogromną, ciemną kałużę.

Zwłoki były otoczone policyjną taśmą. Właściwie to całym mnóstwem policyjnej taśmy, która nie tylko odgradzała miejsce morderstwa, ale sięgała belek na suficie, spowijała zyrandole i zwieszała się z każdej lampy.

– Niesamowite – westchnął Konieczny po cichu. – Tyle taśmy, wszędzie taśma. A ja muszę za każdym razem pisać notatkę służbową i wyszczególniać metraż z dokładnością do dziesięciu centymetrów, a potem jeszcze poświadczać podpisem funkcjonariusza obecnego na miejscu zdarzenia.

– Niech pan na to popatrzy – rzucił Wybuch z triumfem, wskazując na kilka postaci poruszających się w zwolnionym tempie. Tempo wynikało z tego, że każda miała na sobie śnieżnobiałe szczelny kombinezon.

– Na filmie amerykańskim takie widziałem – szepnął zafascynowany Konieczny. – Zawsze marzyliśmy z kolegami, żeby chociaż raz coś takiego założyć i obwieścić: „Policja, to miejsce zbrodni, wstęp wzbroniony”.

– Policja, to miejsce zbrodni, wstęp wzbroniony! – zawołał mężczyzna idący na czele grupy. Reszta dynamicznie się rozproszyła. Dwóch zaczęło ustawiać reflektory na stojakach. Kolejnych trzech wypakowywało jakąś maszynę z wielkiej metalowej skrzyni.

– Melduję posłusznie, że rozpoznaję zestaw oświetleniowy Somita – zaraportował Władek. – Widzieliśmy raz taki na szkoleniu poświęconym prawidłowej dokumentacji miejsca zdarzenia.

– Bardzo dobrze – pochwalił go Konieczny. – Mieliśmy znakomite szkolenie, niestety zestaw oświetleniowy był wypożyczony. Policja nie ma takiego na stanie – wyjaśnił mi ze smutkiem.

– Mogę załatwić – zaoferował się Wybuch.

– Niestety przejściowe kłopoty budżetowe skutkują brakiem funduszy na zakup środków trwałych w perspektywie najbliższych dwunastu miesięcy – wymamrotał smętnie aspirant. – Natomiast jesteśmy świetnie przeszkoleni z użycia wyżej wspomnianych środków.

– Rozstawić reflektory przy ścianach – zakomenderował dowódca grupy.

Kilku mężczyzn w kombinezonach natychmiast ruszyło ze statywami.

– Nie, nie tak – skrzywił się Konieczny. – Trzeba je rozstawić na planie trójkąta równobocznego ze zwłokami w środku.

Dowódca najwyraźniej usłyszał uwagę, bo podszedł do nas i serdecznie potrząsnął dłonią Załatwiacza.

– To jest... – Wybuch zamierzał przedstawić aspiranta, ale ten natychmiast wszedł mu w słowo.

– Po prostu się kolegujemy – wyjaśnił. – Akurat jesteśmy przejazdem, kolega zaprosił nas na miejsce zbrodni. To znaczy na inscenizację miejsca zbrodni, żebyśmy sobie rzucili okiem. Konieczny jestem. A to... Lucja, po prostu Lucja. Nie Łucja. Moja koleżanka. A to mój kolega... Władek. Wyskoczyliśmy sobie wszyscy razem na myjnię przed świętami.

– Ja byłem wczoraj. Nie ma to jak spotkać się z kolegami, pogadać, zagrać w karty. No i oczywiście na końcu auto umyć. – Mężczyzna uśmiechnął się konspiracyjnie. – Komisarz Uważny.

– Z komendy stołecznej? – Aspirant zmarszczył brwi.

Mężczyzna cicho zachichotał.

– No nie taki prawdziwy komisarz, skąd! Jestem nim tylko w czasie gry kryminalnej. Mamy tu, jak państwo widzą, poważną sprawę do rozwiązania. – Machnął ręką w stronę trupa na podłodze. – Denatka spadła ze schodów tuż przed przyjęciem bożonarodzeniowym, prawdziwy pech.

– Spadła ze schodów? Cóż za koincydencja – mruknął Konieczny.

– Wiem, że to dość nieprawdopodobna historia. – Niby-komisarz uśmiechnął się. – Mało kto uśmierca kogoś, spychając go ze schodów. Rozważaliśmy inne sposoby zabójstwa. Strzał z pistoletu, otrucie...

– Morderstwa z użyciem broni palnej są u nas stosunkowo rzadkie, przynajmniej w porównaniu z innymi krajami europejskimi – wyrecytował aspirant.

– To samo mówiłem zleceniodawcom – ucieszył się Uważny. – Pan, widzę, interesuje się trochę tematem.

– Tak jakby – wymamrotał aspirant.

– Otóż nasz klient, duża międzynarodowa firma, która zamówiła grę, z początku chciał sam wybrać sposób, w jaki zostanie uśmiercona denatka. Najpierw wybór padł właśnie na strzał z rewolweru. Oczywiście mogliśmy go zaaranżować, ale w naszej sytuacji nie byłoby to wiarygodne morderstwo.

– Jeśli już nagła śmierć, to bardziej prawdopodobny jest nóż lub inne ostre narzędzie – podsunął Konieczny.

– To samo im powiedziałem – pochwalił się niby-komisarz. – Zgodzili się jednak na upadek i skręcenie karku, przez co zagadka stała się bardziej pasjonująca. Ciotka Klotylda spada ze schodów i ginie na miejscu.

– Ciotka Klotylda? – Aspirant, zdumiony, uniósł brwi. – Zadziwiająca koincydencja.

– Na początku miał zginąć mężczyzna, ale potem wybór padł na ciotkę. Klotylda, bo to takie rzadkie imię, że nie pomylił się z jakimś uczestnikiem. Tak się składa, że ta Klotylda była szefową zespołu, w którym na pozór wszyscy się lubią, ale tak naprawdę każdy miał motyw, żeby się jej pozbyć.

– Co za koincydencja – mruczał pod nosem Konieczny.

– Oczywiście sama historia jest całkowicie wymyślona, natomiast dokładamy wszelkich starań, żeby technika i procedury policyjne były jak najbardziej prawdziwe. Wie pan, to ważny klient, chcemy, żeby był zadowolony – podkreślił Uważny. – Natychmiast przybywa ekipa i lekarz potwierdza zgon z powodu upadku...

– Lekarz toby tak od razu nie przyjechał – skrzywił się aspirant.

– Zdziwiłby się pan, jak szybko działa policja – zapewnił niby-komisarz.

– Polska policja dokłada starań, żeby śledztwo przebiegało jak najszybciej, niemniej obiektywne trudności kadrowe sprawiają, że lekarz specjalista najpewniej nie pojawiłby się na miejscu zbrodni przed upływem kilku do kilkunastu godzin – wyrecytował Konieczny.

– Ależ co pan mówi? – oburzył się Uważny. – Lekarz musi przecież potwierdzić zgon.

– Tak, ale to robi ten z karetki – stwierdził policjant. – Zresztą przeważnie jest ratownikiem, a nie lekarzem. Cięcia kadrowe...

– Nie no, to by zdeorganizowało śledztwo! Patolog musi określić dokładną godzinę zgonu. Skąd uczestnicy mieliby wiedzieć, czego szukać, gdyby nie wiedzieli co do minuty, kiedy zginęła Klotylda?

– Patolog poda te dane po trzech dniach – wyjaśnił Konieczny. – Z tym że oczywiście nie są one precyzyjne.

– Przecież po trzech dniach takie informacje nie miałyby sensu. – Uważny wybuchnął śmiechem. – I zgadzam się z panem, że lekarz nie da rady dokładnie określić czasu zgonu,

wskazując, dajmy na to, siedemnastą piętnaście. Może jednak orzec, że śmierć nastąpiła między siedemnastą a siedemnastą trzydzieści.

Aspirant tylko pokręcił głową.

– Musi pan kiedyś wpaść na jakiś wykład – zaproponował niby-komisarz. – My się regu-
larnie szkolimy, żeby nasze gry były jak najbardziej zbliżone do rzeczywistości. Nie wiem,
czy mówi coś panu nazwisko Wąski.

– Wąski? – Nieczęsto miałam okazję oglądać Koniecznego, jak zaniemówił. Ale najwy-
raźniej to był ten moment. – Wąski? – powtórzył bezwiednie po dłuższej chwili.

– Tak, znany inspektor, gwiazda polskiej policji – rozpromienił się niby-komisarz. –
Otóż szkolił nas ostatnio z procedur policyjnych. Wie pan, co powiedział o pracy ekipy tech-
nicznej i lekarza?

– Co takiego? – wybełkotał Konieczny.

– Otóż inspektor Wąski uważa, że najlepsza diagnoza jest szybka jak błyskawica na wio-
sennym niebie.

– Aha – powiedział tylko aspirant i klapnął na najbliższe krzesło.

– Na przykład kiedy inspektor Wąski prowadził sprawę Truciciela z Piły... Pewnie pan
nie słyszał?

– Coś mi się obilo o uszy – wyszeptał Konieczny niemal bezgłośnie.

– Ten człowiek otrul pięć osób, a inspektor Wąski przygwoździł go dlatego, że znał do-
kładny czas śmierci piątej ofiary.

– Owszem, ale nie dlatego, że określił to patolog, tylko ofiara napisała esemesa do nar-
zeczonej: „Dorota, fatalnie się czuję, ten człowiek dał mi coś dziwnego do picia” – powie-
dział policjant i na widok zdumionego spojrzenia Uważnego, natychmiast się poprawił: –
To znaczy można sądzić, że ktoś dopiero co poczęstowany trucizną napisałby esemesa do
bliskiej osoby. Powiedzmy: do swojej narzeczonej o imieniu Bożena, Marlena czy choćby
Dorota.

– Tak się składa, że jego narzeczona naprawdę miała na imię Dorota. – Niby-komisarz
wybałuszył oczy. – Skąd pan to wiedział?

– Szczęśliwy traf – chrząknął Konieczny.

– Pan, widzę, zainteresowany tematem. Po Nowym Roku inspektor Wąski przyjedzie do
nas z kolejnym wykładem, tym razem o niestandardowych metodach przesłuchiwania po-
dejrzanym, więc gdyby miał pan ochotę...

– Niestety wyjeżdżam – przerwał mu aspirant.

– To może w lutym...

– Wyjeżdżam na stałe. – Konieczny zbladł. Otarł zroszone potem czoło i spróbował zmie-
nić temat: – A to biosensor do odcisków palców? ACS-15? To znaczy miałem na myśli, że ta
maszyna wygląda całkiem jak biosensor...

– Zgadł pan. – Uważny był pod wrażeniem. – Naprawdę bardzo przydatna rzecz na
miejscu przestępstwa. Mój pomocnik Waldek bada właśnie ślady za pomocą tego urządze-
nia. – Skinął ręką w stronę młodego chłopaka, który krzątał się przy skrzyni.

– Ale policja na pewno nie pojawiłaby się od razu na miejscu zbrodni z tym czymś – za-
protestował Konieczny.

– A czemu nie? – zdumiał się niby-komisarz. – Gdyby posłuchał pan inspektora Wą-
skiego, dowiedziałby się pan, że to niezbędne wyposażenie policjanta.

– Tak, ale jedyny egzemplarz na stanie aktualnie jest na wypożyczeniu we Wrocławiu –
mruknął po cichu Konieczny i dodał głośno na użytek Uważnego: – To znaczy na pewno ta-
kich urządzeń jest niewiele, i może w ogóle jedno, i pewnie akurat nie ma go w po-
bliżu, bo jest na przykład we Wrocławiu albo... – Zawiesił na mnie błagalne spojrzenie.

– Albo nawet w Mławie – pomogłam mu.

– Nie, w Mławie na pewno nie. Tamtejsza komenda to... – Konieczny urwał, kiedy spiorunowałam go wzrokiem, i uśmiechnął się z wysiłkiem. – Tak, rzeczywiście, nawet w Mławie.

– Co też pan mówi! – obruszył się niby-komisarz. – Policja nie może przecież pracować bez nowoczesnej technologii. Inspektor Wąski by to panu wyjaśnił.

– A może moglibyśmy pożyczyć ten... jak pan go nazwał? – zapytał Konieczny.

– Biosensor.

– Właśnie.

– A po co? – zdziwił się Uważny.

Konieczny znowu zbladł i spojrzał na mnie z rozpaczą. Nie mogłam go tak zostawić.

– Pomagamy w nagraniach grupy Ciotki Klotki. Mamy tu jednego z jej członków, Chilimana. – Wskazałam na Władka. – Potrzebuje biosensora do swojego filmiku.

– Ile masz wyświetleń? – zapytał podkomendnego Uważny.

– Czteryście osiemdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset jedno – wyrecytował Władek.

– Nieźle! – Mężczyzna był pod wrażeniem. – Pożyczymy, ale w zamian chcielibyśmy mieć nazwę naszej firmy użytą w pozytywnym kontekście.

– Zrobi się – zapewnił Władek.

– I nasze hasło – dodał niby-komisarz. – „Zamordujemy cię firmowo”.

Rozdział 15

Nieczęsto zdarza mi się oglądać Wolfganga Amadeusza Koniecznego rozluźnionego, w swobodnej rozmowie z nieznanymi. Teraz jednak przechodził samego siebie w small talku z szefem eventerów.

Pracownicy firmy eventowej ustawiali reflektory (Uważny zgodził się z sugestią aspiranta, że powinny znaleźć się na planie trójkąta), a Konieczny dyskutował o życiu, korporacjach i klientach, jakby nic innego nie robił przez całą swoją karierę.

– Klienci zawsze wpadają na to, kto zabił? – zapytał od niechcenia.

Niby-komisarz zaśmiał się z lekkim poczuciem wyższości.

– Ależ robimy ich w konia, bez tego nie byłoby zabawy – wyjaśnił. – Wszyscy podejrzani mają alibi. Z tym że oczywiście alibi mordercy jest fałszywe. Jak pan zapewne się domyśla, morderca zawsze kłamie.

– Och, z pewnością. Tak właśnie, jak przypuszczam, robią mordercy. Wredne z nich bestie. A w przypadku tej konkretnej zbrodni?

– Nasz dział kreacji wpadł na trochę dziwaczny, ale bardzo nośny pomysł – powiedział Uważny. – Otóż wszyscy podejrzani twierdzą, że w chwili, kiedy denatka spadała ze schodów, zajmowali się czymś innym. I żeby trudniej było znaleźć winnego, każdy z nich ma na to dowód. Proszę sobie wyobrazić, że kręcili filmiki ze sobą w roli głównej, określili więc co do minuty, co robili przed śmiercią ofiary. Teoretycznie nikt z nich nie mógł rozpiąć na schodach linki, o którą potknęła się Klotylda. Dobre, prawda?

– Cokolwiek udiwnione. Ale rzeczywiście, alibi wydaje się nie do ruszenia – przytaknął Konieczny.

– To przecież zupełnie tak samo jak... – zaczął Władek, ale szef natychmiast wszedł mu w słowo.

– U twojego dziadka na Podlasiu, wiemy doskonale.

– Wcale nie – oburzył się podkomendny. – To zupełnie tak samo jak...

– Przestań, inaczej twoja żona dowie się z anonimowego źródła, ile wynosiła premia przed Gwiazdką – syknął aspirant.

Władek stanął jak wmurowany i na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

– Ile? – zaciekawił się Uważny.

– Nie ma o czym mówić – wybełkotał policjant. – A jeśli chodzi o to morderstwo, jest zupełnie inne od... od... od wszystkich innych morderstw. Kompletnie inne. Całkiem niepodobne do... do... do niczego.

– Miło to słyszeć. – Niby-komisarz wypiął pierś. – Bardzo się staraliśmy, żeby kreacja produktu, czyli gry kryminalnej, była oryginalna i nie pokrywała się z prawdziwymi sprawami.

– W ogóle się nie pokrywa! – krzyknęli jednym głosem Władek z Koniecznym.

– Przekażę te pochwały działowi kreacji. – Uważny pokiwał głową. – A wracając do alibi...

– Tak, wróćmy, to niezmiernie oryginalne – zachęcał aspirant. – Oni wszyscy twierdzą, że nagrywali filmiki albo przyklejali się wzajemnie do krzesel.

– Nic nie wspominałem o przyklejaniu się do krzesel. – Mężczyzna zmarszczył brwi. – Zerknę jeszcze do scenariusza...

– Nie ma po co, pewnie źle usłyszałem – uspokoił go policjant. – Wracając do tych żelaznych alibi: kto z nich kłamie?

– Ach, to dziecinnie proste. – Niby-komisarz uśmiechnął się.

W tym momencie zadzwoniła mu komórka. Mężczyzna zerknął na wyświetlacz i zrobił się kredowobiały. Odebrał i słuchał przez kilkanaście sekund, bezgłośnie poruszając ustami jak ryba w akwarium.

– Oczywiście – wydukał wreszcie i zakończył połączenie.

– I co z tym alibi? – dopytywał Konieczny.

– Jest dość oczywiste, choć muszę powiedzieć, że większość uczestników naszych gier nie wpada na to rozwiązanie. Trudno powiedzieć dlaczego. Przecież wystarczyłoby chwilę pomyśleć. Prawdziwy policjant zgadłby natychmiast.

– Może to kretyni – zniecierpliwiał się aspirant, ale widząc minę Uważnego, natychmiast się poprawił: – Może myślą o pracy albo o świętach. Dużo ludzi myśli teraz o świętach.

– Albo zapomnieli, co żona kazała im kupić dla teściowej... – zasępił się Władek.

– Właśnie, nie ma co się nad tym zastanawiać – poganiał Konieczny. – A więc?

– Otóż morderca po prostu cofa czas w swoim telefonie. Rozpina żyłkę, o którą potknął się Klotylda o godzinie, dajmy na to, szesnastej. Potem cofa czas w telefonie o pięć minut i nagrywa filmik, z którego wynika, że o tej samej godzinie wyjmował w kuchni ciasto z piecyka.

– Coś podobnego! – sapnął aspirant. – A to przebiegła bestia.

– To ten nasz też mógł... – zaczął Władek.

– Premia – rzucił w przestrzeń jego szef.

– Ten nasz wujek też mógł... umyć samochód na myjni – dokończył podkomendny.

– Musimy już lecieć. – Marsowa mina Koniecznego świadczyła, że ma już gotowy plan działania.

– Oczywiście – odparł niby-komisarz nieobecny tonem. – Muszę zabrać się za robotę, właśnie dostałem wiadomość, że jedzie do nas właściciel firmy. On nigdy nie wizytuje miejsc zbrodni, ale tym razem postanowił sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Na pewno będzie zachwycony. – Aspirant uśmiechnął się. – Ma pan bardzo profesjonalną ekipę i sam również doskonale odgrywa rolę tego... no... komisarza.

– Pan nie zna naszego właściciela. Nie wystarczy mu, że jesteśmy profesjonalni. – Uważny miał w oczach autentyczny strach. – Wie pan, co on mawia o niedoróbkach w produkcji?

– Nie mam pojęcia. – Konieczny pokręcił głową.

– Otóż inżynier Szeroki, właściciel firmy, mawia: „Każda niedoróbka ma autora. A taki autor jest mi zbędny”.

Rozdział 16

Widzieliście kiedyś kota, który się najadł i jest mu tak ciepło i błogo, że cały rozplywa się w uśmiechach? Otóż Konieczny przypominał takiego właśnie kota, który objedzony do granic możliwości wygrzewa się przy kominku, mając nadzieję na kolejne kąski.

– Nie wiem, czy pani zauważyła, pani Lucjo, że niektóre elementy tej gry mogą nam pomóc dociec prawdy w rzeczywistym śledztwie – zawiadomił mnie, kiedy wróciliśmy do domu influencerów. Uśmiechał się przy tym od ucha do ucha.

– Zauważyłam. – Skinęłam głową.

– Pojawiły się interesujące koincydencje z naszą sprawą – podkreślił aspirant. – Inspektor Wąski mawia: „Wykorzystaj podobieństwa, odrzuć różnice, zamknij winnego”. Rozumie pani?

– Ma pan wytypowanego mordercę – zgadywałam. – Gratuluję.

– Nie, nie mam. – Konieczny posmutniał, ale po chwili ponownie się rozpromienił. – Choć mam koncepcję, jak go znaleźć. Otóż w rozmowie z tym panem Uważnym padło interesujące zdanie. A my, policjanci, jesteśmy specjalnie szkoleni, żeby wyłapywać kluczowe słowa.

– O zmianie czasu w telefonie.

– Ach, więc pani też je zauważyła. – Aspirant lekko się stropił. – Muszę powiedzieć, że dzięki współpracy z polską policją poczyniła pani duże postępy i stała się niezmiernie spostrzegawcza. W każdym razie teraz sprawdzę, czy w telefonach tych influencerów jest zmieniony czas, i aresztuję winnego lub winną.

– Aha – powiedziałam.

– Miałem nadzieję na żywszą reakcję – burknął rozczarowany.

– Aha, aha – powtórzyłam.

– Tak już lepiej – odetchnął. – Wiemy więc, że ktoś rozpiął żyłkę nad schodami mniej więcej między dwunastą dwadzieścia a dwunastą trzydzieści. Poznamy tożsamość tego ktosia, kiedy tylko sprawdzę, kto cofnął zegar w komórce.

Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi jadalni, w której przebywali influencerzy.

– Proszę położyć telefony na stole i nie wykonywać gwałtownych ruchów – zakomenderował.

– Gwałtownych, czyli jakich? – Żrekotek poderwał się z fotela. – Może usiądziecie. – Wskazał wolne krzesła przy stole.

– Dziękuję – powiedział odruchowo Konieczny i niemal usiadł, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, co mu się niedawno przydarzyło. Spojrzał na Żrekotka z przyganą. – Tym razem nie dam się nabrać. Z całą pewnością bym się przykleił. Ale policja uczy się na błędach. – Pogroził mu palcem. – Zamiast tego usiądę na twoim miejscu.

Zdecydowanym krokiem podszedł do krzesła chłopaka i usiadł na nim z rozmachem. Rozległo się głośnie „bum”, a potem odgłos puszczenia bąka.

Aspirant poczerwieniał, a influencerzy pokładali się ze śmiechu.

– Klasyka – chichotał Żrekotek, ocierając łzy. – Przewidziałem, że nie będzie pan chciał usiąść tam, gdzie proponowałem, tylko na moim miejscu. I tak pan zrobił. Tego się pan nie spodziewał, co? Ha, ha, ha!

– To nie jest przedmiotem śledztwa, czego się spodziewałem – naburmuszył się Konieczny. – Przypominam, że drwienie z powagi policji jest wykroczeniem i mogę wyciągnąć z tego konsekwencje. Proszę o telefony, będą potrzebne w dochodzeniu.

Kiedy wszystkie aparaty leżały już przed nim w rzędzie, zrobił poważną minę. Wziął do ręki pierwszy z brzegu i postukał w niego palcem. Telefon był opakowany w jasne futerko i niewątpliwie należał do którejś z dziewczyn.

– A więc na pierwszym aparacie mamy obecnie godzinę czternastą zero cztery. – Konieczny spoważniał jeszcze bardziej, kiedy spojrzał na własny zegarek.

– A tak naprawdę mamy godzinę... czternastą zero cztery. Tak więc ten czas jest właściwy. – Odsunął telefon na bok. – Na drugim również mamy czternastą zero cztery. – Przesunął aparat na lewo. – Na trzecim... – zawiesił głos na ułamek sekundy – ...to samo. Podobnie zresztą jak na czwartym. Poproszę również o państwa telefony – zwrócił się do Joanny Zaraz i operatora.

Oboje położyli przed nim swoje aparaty.

– Melduję, panie aspirancie, że zauważyłem niezgodność. – Władek wyrwał się przed szeregiem. – Na wzmiankowanym telefonie jest inna godzina. A konkretnie czternasta zero pięć.

– Na wszystkich jest teraz czternasta zero pięć – syknął Konieczny. – Upłynęła minuta.

– Tak jest, panie aspirancie. Melduję, że niezgodność zniknęła – ucieszył się Władek.

– Ale numer, jesteśmy podejrzani! – ucieszył się Żrekotek. – Zaraz wrzucę o tym filmik. Serduszek, jeśli jestem mordercą, kciuk w górę, jeśli nie jestem.

– Wykluczone, wszystkie aparaty zostają zabezpieczone do czasu wyjaśnienia sprawy – zapowiedział Konieczny srogim tonem.

– Czyli jak długo? – Wilczycy zrzędnęła mina. – Bo wieczorem chciałem coś nagrać.

– Wieczorem, ale raczej w maju lub czerwcu – stwierdził Władek. – O ile dany aparat nie należy do mordercy, bo w takim wypadku to około roku dwa tysiące czterdziestego drugiego.

– Niemożliwe! – przeraził się Pan Zdziwko. – Stracilibyśmy followersów. Dostaniemy telefony z powrotem dzisiaj? Gdy zakończy się dochodzenie?

– Cóż, sprawa zwrotu telefonów i jego harmonogramu zostanie przedyskutowana w... odpowiednim czasie – chrząknął Konieczny.

– Ale przecież każdy z nas filmował się sam. Nie uda się sprawdzić tej przestawionej godziny – zauważył Żrekotek.

– Naprawdę, pani Lucjo? – zapytał mnie aspirant szeptem.

– Naprawdę – przytaknęłam. – Mógłby pan odkryć niezgodność, gdyby, powiedzmy: Żrekotek filmował Pana Zdziwko, a Wilczyca ich obu, i gdyby godziny nagrania obu filmików się różniły.

– W takim razie nie posuniemy się naprzód... – Konieczny zamyślił się, a potem spojrzał na mnie z naganą. – Wiedziała pani o tym?

– Owszem – przyznałam.

– I nie podzieliła się pani tym ze mną?

– Nie pytał pan. Nie chciałam zaburzać przebiegu śledztwa.

Aspirant naburmuszył się i wyszedł z jadalni. Razem z Władkiem podążyliśmy za nim.

– Jakież pomysły? – rzucił w przestrzeń Konieczny.

– Melduję, że inspektor Wąski by ich wszystkich... – zaczął podkomendny.

– To wiem – zirytował się jego szef. – A jakież pomysły poza zamknięciem ich wszystkich?

– U nas na wiosce jak raz dziadziusiowi z chałupy zniknęły oficerki, to zamknął trzech podejrzanych w komórce i zapowiedział, że nie wyjdą, póki buty się nie znajdą. I po dwóch godzinach się przyznali – zadumał się Władek.

– Tak sami z siebie? – Konieczny uniósł brwi.

– No tak, bo byli na kacu i potrzebowali klina – wyjaśnił mu podwładny.

– I który zwinął? – zainteresował się aspirant.

– Wszyscy się przyznali, bo każdy potrzebował klina, ale tylko jeden wiedział, gdzie są buty.

– A jak to nam pomoże w naszej sprawie? – Konieczny zmarszczył brwi.

– No, trzeba sprawdzić, czy jest tu piwnica, wsadzić tam podejrzanych i czekać, aż się któryś przyzna, bo będzie potrzebował...

– Sęk w tym – mruknął ironicznie aspirant – że oni nie są na kacu.

– A gdyby napoić ich alkoholem, to by potem byli – zauważył podkomendny.

Konieczny spojrzał na mnie z rozpaczą.

– Pani Lucjo, jakieś pomysły?

– Wróćmy do eventerów i sprawdźmy, jak postępuje ich śledztwo – podesunęłam. – Może będą następne koincydencje.

– Melduję, panie aspirancie, że właśnie miałem to zaproponować – zaraportował Władek.

Konieczny ruszył przodem, ale jego podkomendny się ociągał – wyjął z kieszeni kartkę od żony i zamyślił się głęboko.

– Idziesz? – krzyknął aspirant.

– Przepony? Czy możliwe, żeby to były przepony? – wymamrotał Władek.

Rozdział 17

Komisarz Uważny wyglądał na zrelaksowanego. Siedział w przepastnym fotelu, przeglądając zdjęcia i wertując wydrukowane strony.

– Wygląda na to, że jednak nie przyjeżdża. – Uśmiechnął się szeroko.

– Inspektor Wąski? – zdumiał się Konieczny.

– Inspektor Wąski? Nie, dlaczego miałby dziś przyjeżdżać? – Uważny zrobił zdziwioną minę. – Miałem na myśli inżyniera Szerokiego.

– Oczywiście – poprawił się aspirant. – Właśnie o nim myślałem. Tak się zastanawiałem, co się dzieje w sytuacji, gdy uczestnicy gry nie potrafią zweryfikować, czy w telefonach została zmieniona godzina.

– Pomyśleliśmy o tym. – Niby-komisarz uniósł palec. – Otóż w naszej grze mamy testament, który zostawia zamordowana. Ciotka Klotylda wyklucza w nim z grona spadkobierców pewne osoby, które z tego powodu zyskują motyw, żeby się jej pozbyć i popełnić morderstwo.

– Nam się nie przyda – szepnął do mnie Konieczny. – Ci influencerzy nie wyglądają na takich, co zostawiają testamenty.

– Chyba że w innej formie – odszepnęłam. – Bardziej dostosowanej do ich stylu. Na przykład filmowej.

W oczach aspiranta dostrzegłam błysk.

– Genialne! – krzyknął, zrywając się na równe nogi. – Idziemy! – rzucił do mnie i Władka, nie zwracając uwagi na zbitego z tropu Uważnego.

W jadalni domu influencerów zdawało się, że czas zastygł w miejscu. Wszyscy siedzieli na tych samych krzesłach i fotelach co wcześniej i – podobnie jak wtedy – wyglądali na śmiertelnie znudzonych.

– Już wiadomo, kto jest tym mordercą? – zapytał z nadzieją Żrekotek. – Nudzimy się. Może moglibyśmy dostać telefony chociaż na chwilkę?

– Nie ma mowy – warknął Konieczny. – Szukamy testamentu Ciotki Klotki.

– Czego? – zdumiał się Pan Zdziwko.

– Testamentu – wyjaśniła Czerwona Ka. – Taki męski hormon.

– Sama jesteś męski hormon – obruszył się Żrekotek. – To takie coś do picia.

– Chodzi o wolę zmarłej – wyjaśnił aspirant.

– Ale że co woli? Nic już nie woli, bo trup. – Wilczyca wzruszyła ramionami.

Konieczny zrobił kilka wdechów i wydechów, w czym wyjaśnił spokojnym głosem:

– Chodzi o to, czy Ciotka Klotka miała zamiar coś ogłosić. No więc ktoś wie?

Influencerzy pokręcili głowami i rozłożyli bezradnie ręce.

– Spodziewała się pani tego, pani Lucjo? – Aspirant spojrzał na mnie zirytowany.

– Owszem.

– Ale nie zapytałam, więc nic pani nie powiedziała? – kontynuował, najwyraźniej wkurzony.

– Sądziłam, że zapyta pan, czy Ciotka Klotka nie opublikowała teraz żadnego filmu – powiedziałam.

– Przecież nie żyje – wzruszył ramionami Konieczny. – Nie muszę pytać.

– Błąd – stwierdziłam. – Otóż opublikowała. Pięć minut temu.

– Pani Lucjo – zirytował się policjant. – Ja tu prowadzę prawdziwe śledztwo, a nie eventowe. Nie wpadają duchy, nie pojawiają się zombie, a denatki nic nie publikują, skoro leżą kompletnie nieżywe.

– Czasem nieżywe też publikują – zaoponował Władek. – Kiedy zmarł wuj Teofil, niech odpoczywa w spokoju, to następnego dnia oberwała się deska u powały i wyleciała spod niej kartka, na której napisał, że kuzyn Antoś jest jego synem. Wszyscy potem mówili, że musiał po śmierci deskę poluzować, bo jak to inaczej wytłumaczyć.

– Ciotka Klotka niczego nie luzowała – syknął Konieczny.

– Ciotka Klotka ustawiła godzinę zdalnej publikacji filmiku i tak się składa, że materiał trafił do sieci już po jej śmierci – wyjaśniłam.

Wyjęłam komórkę i puściłam z YouTube’a najnowszy materiał Ciotki Klotki.

– Cześć, kochani! – Influencerka na ekranie była w wyśmienitym nastroju. Gdybym pracowała w portalu informacyjnym, zapewne napisałabym: „Nie spodziewała się, że już za kilkadziesiąt minut jej sytuacja zmieni się diametralnie”. Na szczęście nie pracowałam. – Mam dla was niezłe niusy na temat naszej grupy. Pewnie się nie spodziewacie, ale musiałam dokonać zmian w składzie. Zaskoczę was, ale już wkrótce wszystko się wyjaśni, a wy dostaniecie jeszcze lepsze filmiki i więcej pomysłów. Za godzinę wyjaśnię wszystko na ławie na naszym kanale. Całuski.

– Na czym wyjaśni? – Konieczny zmarszczył brwi.

– Na ławie – powtórzyłam. – Czyli transmisji na żywo.

– No, na żywo to już raczej nie wystąpi – zauważył Władek. – Chyba że na martwo.

– No i co teraz, pani Lucjo? – zapytał aspirant.

– Pyta mnie pan? – upewniłam się.

– Właśnie tak – westchnął.

– W takim razie proponuję zajrzeć do telefonu Ciotki Klotki – zasugerowałam. – Może znajdziemy w nim coś, co rzuciłoby nowe światło na sprawę i na to, co zamierzała powiedzieć. Mogła nagrać ten drugi filmik wcześniej. Znaczy przed śmiercią. – Staralam się mówić tak jasno, jak to możliwe.

– Znakomity pomysł! – Konieczny zerwał się z miejsca. Naciągnął na dłoń lateksową rękawiczkę i sięgnął do worka na dowody, w którym przechowywał telefon Ciotki Klotki. Wyciągnął go i spojrzął na mnie rozczarowany.

– Zahasłowany – stwierdził. – Mogę go oddać do naszego działu cyberprzestępstw, ale oni mają terminy trzymiesięczne. I to tylko, jak akurat nikogo nie ma na zwolnieniu, a synek tej Marioli jest bardzo chorowity.

– Melduję, że pracuje tam mój bardzo dobry kolega, z którym czasami sobie popi... To znaczy melduję, że on zrobi to po znajomości w dwa tygodnie – wtrącił Władek.

Mina aspiranta się wydłużyła.

– Dwa tygodnie? Wigilia jest za kilka godzin, a jak inspektor Wąski usiądzie do stołu z rodziną i otrzyma wiadomość, że sprawa nie została rozwiązana... Co robić, pani Lucjo?

– Może spróbować odcisku palca – zasugerowałam.

– Podszkoliła się pani – mruknął Konieczny z uznaniem i pognał z telefonem do zwłok Ciotki Klotki.

Podążyliśmy za nim. Znikąd pojawił się bezszelestnie operator, który zaczął filmować aspiranta, jak z gracją przestępuje świąteczne łańcuchy odgradzające ciało, ostrożnie ujmując palec zmarłej i przytyka go do telefonu.

– Nic z tego – powiedział po chwili rozczarowany.

– Może spróbować rozpoznawania twarzy? – podsunęłam.

– Sam też na to wpadłem – burknął, ale po chwili się zasępił. – Tylko że ona leży twarzą do dołu.

– Melduję, panie aspirancie, że najlepiej będzie, jak chwyci pan denatkę za szyję i podniesie, a ja podetkam aparat – zaferował się Władek.

– Ale wtedy pozycja zwłok się zmieni.

– Melduję, że to żadna różnica, czy leży tak, czy minimalnie inaczej – zauważył filozoficznie podkomendny.

– To może zrobimy odwrotnie? Ty podniesiesz, a ja podetkam? – zaproponował Konieczny.

– Ja przesądny jestem, nie będę denatką machał przed aparatem – zaparł się Władek. – A pan aspirant nie wierzy w takie rzeczy, to może.

Jego szef westchnął ciężko, ale uznał logikę argumentu. Złapał Ciotkę Klotkę i podniósł ciało na kilkadziesiąt centymetrów, a Władek podsunął aparat pod twarz zmarłej.

– Wspaniale, odblokował się! – krzyknął Konieczny.

– Poszło! – zawołał Żrekotek, zacierając ręce.

– Co poszło? – Aspirant nie zrozumiał.

Chłopak pomachał mu przed twarzą swoim telefonem, który, nie bacząc na zakaz, musiał zwinąć ze stołu w jadalni.

– Nasz najnowszy challenge. Chiliman odblokowuje telefon twarzą trupa. Mamy hit. Trzydzieści sekund w sieci i już trzy tysiące wyświetleń.

Rozdział 18

Znacie historię Ernesta Shackletona? Jeśli tak, to zapewne wyobrażacie sobie, jak wielkie musiało być jego rozczarowanie, gdy po miesiącach spędzonych w zimnie, utraciwszy zapasy, psy pociągowe i nadzieję, dotarł wreszcie do upragnionego bieguna tylko po to, żeby się dowiedzieć, że ubiegł go Amundsen. Shackleton był jednak Anglikiem. Być może mruknął po prostu flegmatycznie: „Do licha, a to pech” i ruszył w drogę powrotną. Z której zresztą nie powrócił.

Wolfgang Amadeusz Konieczny Anglikiem z pewnością nie był i gorzej panował nad emocjami. Z zachwytem wpatrywał się w komórkę Ciotki Klotki jak w Świętego Graala i przewijał ostatnie filmiki i zdjęcia.

– Mam! – zawołał, niemal podskakując z podniecenia.

– Co? Co? – Żrekotek i Pan Zdziwko ruszyli w jego stronę.

Aspirant powstrzymał ich ruchem dłoni.

– To materiał dowodowy, nie do wglądu dla osób postronnych – pouczył chłopaków.

– Ale my jesteśmy przyjaciółmi, a nie fanami czy subscriberami.

– Nie ma mowy! – Konieczny odsunął się o kilka kroków i skinął na Władka oraz na mnie.

– Ona też jest postronna – oburzył się Pan Zdziwko.

– To nie jest przedmiotem dochodzenia – burknął policjant i włączył odtwarzanie.

Na ekranie pojawiła się Ciotka Klotka. Modelowała fałę włosów i jednocześnie paplała do kamery. Jej pozorna bez troska i uśmiech nie korespondowały z treścią przekazu.

– Kochani, nie wiem jak wy, ale ja nie znoszę dziewczyn, które się szarogęszą. I takich, które robią niefajne rzeczy za czyimiś plecami. Właśnie dlatego postanowiłam, że z naszej grupy odejdzie...

W tym momencie obraz zawirował, a telefon najwyraźniej spadł i wylądował na podłodze, bo dalej filmował sufit. W kadrze pojawiła się twarz Ciotki Klotki i padło przekleństwo.

– Chiński szajs! Dobra, nagram to później.

Filmik się skończył.

– Szlag by trafił! – zirytował się Konieczny. – A tak niewiele brakowało. Kilka sekund i mieliśmy nazwisko. Takie rzeczy przytrafiają się chyba tylko mnie.

– Melduję, panie aspirancie, że mojemu wujowi Melchiorowi też się przytrafiały – westchnął Władek. – Kiedyś na spółkę z kolegą Dzikkiem wygrali dużą sumę pieniędzy. Wuj Melchior poszedł do Dzikka, żeby zapytać, gdzie ten schował kupon. A Dzikdek jak się zakrzusił udkiem kurczaka, to zdążył powiedzieć tylko, że schował w.

– Gdzie schował? – zapytał aspirant.

– Schował w – powtórzył Władek – po czym terminował życie przez tego kurczaka, nie wyjaśniając wujowi, co i jak. No i wuj Melchior do końca życia się nie dowiedział, gdzie jest ten kupon. Przekopał Dzikkowi całą działkę – wdowa nawet wdzięczna była i nasadziła pomidorów – ale kuponu nie znalazł.

– Są jednak plusy takiej sytuacji – zwróciłam uwagę Koniecznemu. – Na przykład krąg podejrzanych zawęził się do trzech osób. Bo Ciotka Klotka wyraźnie dała do zrozumienia, że chodzi o dziewczynę.

– To właśnie chciałem powiedzieć – odetchnął aspirant, nabierając kolorów. – Mamy trzy podejrzane. Choć prywatnie to akurat bym zamknął chłopaków za naruszenie autorytetu polskiej policji.

- To zamykamy te dziewczyny i jedziemy do myjni? – zapytał Władek z nadzieją.
- Inspektor Wąski zawsze powtarza: „Jeśli jesteś wśród hipopotamów, działaj jak hipopotam” – podkreślił Konieczny. – „A jeśli możesz nauczyć się czegoś od orangutana, poświęć chwilę i się naucz”.
- Nie mamy orangutana – zmartwił się Władek.
Jego szef przewrócił oczami.
- Jedziemy do eventerów – zakomenderował.
- Oni są orangutanami? – zdziwił się Władek, ale aspirant tylko machnął ręką i wypadł z domu jak z procy.

Rozdział 19

– Blef – powiedział komisarz Uważny.

– Zwykły blef? – nie dowierzał Konieczny. – I to wystarczy, żeby ograniczyć liczbę podejrzanych?

– Nie taki znowu zwykły – roześmiał się mężczyzna. – Mamy kilka sposobów, ale najlepiej sprawdza się „krwawa litera”.

– Krwawa litera – powtórzył z szacunkiem aspirant.

– Może nie powinienem tego zdradzać, ale to osobisty patent inspektora Wąskiego. Przekazał nam go na szkoleniu – wyjaśnił niby-komisarz.

– Coś podobnego! – wykrzyknął Konieczny, po czym zniżył głos: – Nie znałem tej techniki.

– Nikt tego od pana nie wymaga – uspokoił go Uważny. – W końcu nie zna pan inspektora Wąskiego. I nie jest pan nawet policjantem.

– A skąd pan wie? – nastroszył się aspirant. – Moglibyśmy przecież wszyscy być policjantami po cywilnemu. Tak to się mówi?

– Tak się mówi, ale, za przeproszeniem, od razu widać, że nie mają panowie nic wspólnego ze służbami mundurowymi. – Niby-komisarz zmierzył go wzrokiem.

– A po czym pan to wnosi? – dopytywał Konieczny.

– Policjanci, proszę pana, zwłaszcza po cywilnemu, są bardzo charakterystyczni. Oprócz inspektora Wąskiego gościliśmy jeszcze kilku innych funkcjonariuszy i oni wszyscy bez ustanku palą.

– To bardzo niezdrowe, ale też palę – napomknął aspirant.

– Ale nie bezustannie – zgasił go Uważny. – Po drugie są standardowo ubrani: dżinsowe kurtki, dla niepoznaki ewentualnie bomberki. Na nogach adidas. Nic z tego u panów nie występuje.

– Mogliśmy założyć inne ubrania z okazji świąt.

– To prawda, ale żaden policjant nie dałby się nagrać na YouTube – dodał niby-komisarz. – A już na pewno by się tym nie chwalił. Oni wszyscy są strasznymi tępakami technologicznymi. Poza tym uważają, że jak się nie pokażą na YouTube, to nikt nie zgadnie, że są policjantami. Tymczasem najciemniej jest pod latarnią. Jak się trafi facet bez konta na YouTube i Facebooku, o Instagramie i TikToku nie wspominając, to od razu wiadomo, że jest ze służb. A pana kolega to przecież znany youtuber Chiliman. Swoją drogą, gratulacje. Rośnie nowa gwiazda.

– Dwieście dziewięćdziesiąt trzy tysiące czterysta dziewięćdziesiąt jeden wyświetleń – przyznał skromnie Władek.

– Wracając jednak do „krwawej litery”... – przypomniał Konieczny.

– A tak, no więc najlepiej objaśnię panu wszystko od początku, żeby pan dobrze zrozumiał, bo dla cywili to nie zawsze jest łatwe. Otóż inspektor Wąski stosuje technikę blefu polegającą na dostarczeniu podejrzanym informacji, że ofiara przed śmiercią zdążyła nakreślić imię zabójcy, a dokładniej rzecz biorąc, jego pierwszą literę. Literę niejednoznaczną, która może pasować do każdego z podejrzanych.

– Genialne! – zachwycił się aspirant.

– Podejrzani skonfrontowani z literą pękają. A przynajmniej to z nich, które zamordowało – wyjaśnił Uważny.

W tym momencie zadzwoniła komórka. Niby-komisarz odebrał i jego twarz zrobiła się kredowobiała.

– Niestety muszę panów przeprosić – wyjąkał, kiedy odłożył aparat. – Inżynier Szeroki jednak przyjeżdża.

– Co pan taki błady? Cóż takiego może zrobić inżynier Szeroki? – Konieczny wzruszył ramionami. – Musi być pan śmielszy i bardziej asertywny w stosunku do przełożonych i nie bać się ich tak panicznie.

– Pan go nie zna – wyszeptał Uważny. – W dodatku przywozi ze sobą gościa.

– No i co z tego? – mruknął aspirant.

– Inspektora Wąskiego – wyjaśnił niby-komisarz. – Gości go u siebie z okazji świąt. Jadą tu obaj. Będą niebawem.

Rozdział 20

– Krwawa litera, pani Lucjo! – gorączkował się Konieczny. – Trzeba użyć krwawej litery. I to szybko, zanim dotrze tu inspektor Wąski. Do tego czasu musimy mieć już rozpoznaną osobę morderczyni, a najlepiej spisany raport po aresztowaniu. Inspektor Wąski nienawidzi niezafatwionej papierkowej roboty na święta.

– Cóż, gdyby pan zapytał... – Zawiesiłam głos.

– To?

– Powiedziałabym, że Ciotka Kłotka złamała kark. Nie ma krwi i nie ma czym zapisać imienia ani nazwiska zabójcy.

Aspirant zamyślił się głęboko.

– Psychika mordercy tego nie ogarnie. Lub psychika nie-mordercy – uznał w końcu. – Litera wprowadzi ich w taką konfuzję, że nie będą analizować, czy na miejscu przestępstwa znalazła się krew potrzebna do jej napisania. Ta technika wskaże nam sprawcę. A pani w dodatku ma czerwoną szminkę, która, przez niezwykle wprost koincydencję, idealnie przypomina krew.

– Oczywiście – zgodziłam się. – Ale pozostaje jedna sprawa. Jaka to ma być litera?

Konieczny się zasępił.

– Może J, jak Joanna? To imię tej menedżerki.

– Ale w pseudonimach Wilczycy i Czerwonej Ka nie ma J – zwróciłam uwagę. – Ani w ich prawdziwych imionach i nazwiskach.

– To co teraz zrobimy?

– Narysujemy zygzak – wyjaśniłam. – Może być Z jak Zaraz, może być początkiem W jak Wilczyca i może być M jak Marlina, czyli Czerwona Ka.

– Będą z pani ludzie, pani Lucjo – odetchnął aspirant. W jego ustach była to zapewne pochwała.

Muszę powiedzieć, że zygzak wyszedł mi znakomicie.

– Cudowny kolor – zachwycił się Konieczny.

– Cóż, Estée Lauder ma cudowne kolory – potwierdziłam. – Niestety dużo zużyłam.

– Proszę wystawić rachunek na komendę.

– Czteryście złotych – poinformowałam. – Limitowana edycja.

– W takim razie proszę nie wystawiać! – przeraził się. – Szminka naprawdę może tyle kosztować? Rozliczymy to jakoś... jakoś... inaczej.

– Nie wątpię. – Uśmiechnęłam się.

Władek doprowadził trzy kobiety. Stały w odległości kilku kroków od ciała i spoglądały na nas wyczekująco.

– Proszę pań, bliższe oględziny zwłok ujawniły niezwykle fakt. Otóż zmarła zdążyła zapisać krwią znak przypominający literę. Uważamy, że to inicjał imienia, nazwiska lub pseudonimu mordercy – stwierdził poważnym tonem aspirant. – Chciałbym, żeby panie zerknęły na tę krwawą literę i powiedziały, co paniom przypomina.

– Chętnie! – ucieszyła się Wilczyca i podbiegła do zwłok. Wpatrzyła się w zygzak i kłasnęła w dłoń: – To nie krew, to szminka. Estée Lauder. Cudowny kolor. Chciałam taki mieć, ale Ciotka Kłotka przekonywała mnie, że nie będzie pasować. Głupia, nie miała racji.

– A to nie Chanel? – zapytała Czerwona Ka.

– Jak dla mnie to Maybelline – skrzywiła się Joanna Zaraz.

– Marka krwi nie jest przedmiotem dochodzenia – zirytował się Konieczny. – Chodzi o to, czyj to inicjał.

- Widać, że to Z z kropką – uznała Czerwona Ka. – Czyli Żrekotek.
- Tu nie ma kropki, to kawałek łańcucha z choinki – zauważyła Wilczyca. – I to raczej W. Kto jest na W?
- Ty przecież – powiedziała menedżerka.
- A, no tak – ucieszyła się Wilczyca. – Ale numer. Zaraz nagram filmik. Mina jej się wydłużyła, kiedy przypomniała sobie, że nie ma czym go nakręcić.
- Możemy dostać telefony na kilka minut? – zapytała Koniecznego.
- Nie ma mowy – oznajmił twardo aspirant.
- A to nie jest M? – zastanawiała się Czerwona Ka.
- M nie pasuje do nikogo – stwierdziła Wilczyca.
- Pasuje do mnie – powiedziała Czerwona Ka. – Jak Marlena. Albo do Joasi. – Wskazała menedżerkę.
- Nie mam M ani w imieniu, ani w nazwisku – zaprzeczyła Joanna Zaraz.
- Ale masz Z. Bo to może być Z.
- Ten zygzak w ogóle nie przypomina Z – upierała się menedżerka.
- Ich rozważania wywoływały coraz większą desperację Koniecznego. Zostawiłam ich i weszłam na schody, żeby obejrzeć miejsce, w którym została zaczepiona żyłka. Gdy wróciłam po minucie, dziewczyn już nie było, a aspirant krążył wokół ciała z poważną miną.
- I co pani myśli, pani Lucjo? – zapytał. – Udało się?
- Oczywiście.
- Musi pani przyznać, że mój blef był genialny – cieszył się Konieczny. – Od razu widać, kto jest winny.
- A kto? – zainteresowałam się.
- Cóż, to dostrzeże tylko wprawne oko policjanta – napuszył się. – To oczywiste, że morderczynią jest menedżerka.
- Od razu wydała mi się podejrzana. Chciałem ją zamknąć. – Władek się wyprężył.
- Ty chciałeś zamknąć je wszystkie – zgasił go szef. – A wracając do menedżerki: tylko ona zaprzecza, że krwawa litera ma z nią coś wspólnego. Pozostałe dwie omal się nie pobiły o to, do którego imienia pasuje zygzak. A skoro tak, to znaczy, że nie maczały w tym palców. Sprawa zamknięta.
- Momencik – przerwałam. Pokazałam mu, co przyniosłam w foliowej torebce.
- Worek na dowody. – Konieczny zmarszczył brwi. – W środku jest włos. W kolorze blond.
- Był spleciony z fragmentem żyłki – wyjaśniłam. – Sprawczyni była blondynką. Zapadła cisza.
- Menedżerka jest brunetką – przerwał ją w końcu Władek. – Skoro linkę przyczepiła blondynka, to morderczyni musi mieć blond włosy. A menedżerka ma ciemne. Sama bym tego lepiej nie ujęła. Konieczny milczał.
- Cóż, pani Lucjo – powiedział w końcu. – Jak mawia inspektor Wąski: „Nieważne, ile twoich teorii się nie sprawdzi. Ważne, by ta końcowa się sprawdziła”.
- Nie mogłam się z tym nie zgodzić, zwłaszcza że tym razem to była moja teoria.

Rozdział 21

Jeden mężczyzna, który uważa, że za chwilę świat się zawali, to aż nadto. Dwóch takich to katastrofa. Kiedy patrzyło się na Koniecznego i Uważnego, można było odnieść wrażenie, że grają w filmie katastroficznym: do uderzenia asteroidy, która zniszczy życie na Ziemi, pozostały dwie godziny, a misja ostatniej szansy speliła na niczym.

– Inżynier Szeroki przywiązuje ogromną wagę do szczegółów – tłumaczył niby-komisarz. – Czy państwo wiedzą, co się wydarzyło, kiedy przyjechał wizytować podczas gry koncert farmaceutyczny i odkrył, że zamiast leku o nazwie ranesept w scenariuszu był ranesipt?

– A na co ten lek? – zainteresował się Konieczny.

– Na ból głowy, ale to nieistotne – wyjaśnił Uważny.

– Znakomity, zawsze kupuję żonie – wtrącił Władek.

– Wątpię. – Mężczyzna spojrzał na niego kąpiąco.

– Naprawdę! Żona mówi, że tylko on pomaga. Kiedyś kupiłem inny, to mi powiedziała, żebym go sobie wsadził. I nie miała na myśli jamy ustnej – zaperzył się podkomendny.

– To lek wymyślony na potrzeby gry, więc nieważne, jak się nazywa, bo nie istnieje – ba-gatelizował Uważny.

– To po czym żonę przestaje boleć głowa? – zirytował się Władek.

– Nie mam pojęcia, moją ciągle boli. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – W każdym razie menedżer, który prowadził grę, został zesłany do filii w Krasnymstawie.

– To tam również organizowane są gry kryminalne? – zdumiał się Konieczny.

– Otóż nie. Natomiast dożynki tak. – Uważny pokiwał smętnie głową. – Kiedy inżynier Szeroki zobaczy tych dwóch kretynów... – wskazała na mężczyzn dyskutujących kilka metrów dalej – ...natychmiast wysła mnie do Łęborka. Mieli zagrać scenkę rodzajową. Przesłuchanie, klasyka. Dobry policjant i zły policjant. Ale wyszła katastrofa, mimo że są specjalnie przez nas wynajętymi aktorami, i to z dobrego teatru. W grze trzeba improwizować, a oni tego nie potrafią. Zresztą proszę zobaczyć.

Uważny klasnął w dłonie i zawałał:

– Proszę jeszcze raz przećwiczyć scenkę. Ja jestem podejrzanym, ty jesteś ten zły... – Wskazał wyższego mężczyznę. – A ty ten dobry. – Popatrzył na pucołowatego.

– Miłość, jak zbrodnia, zdradza sama siebie – zaczął wyższy.

Niby-komisarz ukrył twarz w dłoniach.

– Mówiłem, że nie jedziemy Szekspirem – jęknął.

– Ale właśnie mamy próby w teatrze – usprawiedliwił się wyższy. – Uznaliśmy, że to świetnie pasuje.

– Od uznawania, co pasuje, jestem ja. Mówimy potocznie. – Uważny wyglądał, jakby miał za chwilę stracić cierpliwość. – Jestem podejrzanym o zamordowanie tej tam. – Machnął ręką w stronę manekina na podłodze.

– Będziesz miał kłopoty, niecny człowieku! – nasrożył się aktor, wpatrując się w ewenciarza.

– Chyba już państwo rozumieją, co miałem na myśli – powiedział ze smutkiem Uważny. – Właściwie byłem optymistą, myśląc o Łęborku. To będzie raczej Małkinia.

– Fajne miejsce, mam tam wujka – przypomniał sobie Władek.

– Dobrze mu z ócz patrzy. Nie jest to człek, który bliźniego by skrzywdził. – Pucowałowy uśmiechnął się krzepiąco.

Niby-komisarz pokręcił głową.

- To już koniec. A mam kredyt na mieszkanie i działkę.
- Właściwie to przyjechałem z pytaniem, co robić, gdy podejrzone są dwie. – Konieczny spróbował zmienić temat.
- Mamy świetny patent – rzucił nieuważnie Uważny. – Ale teraz muszę się pakować do Małkini.
- Może pan nieco przesadza – zauważył aspirant.
- Gdyby znał pan inżyniera Szerokiego równie dobrze jak ja, wiedziałby pan, że ani trochę. Będzie Małkinia albo i gorzej. – Mężczyzna miał rozbiegany wzrok.
- Niech pani coś zrobi, pani Lucjo – wyszeptał aspirant błagalnie. – Z tym historykiem nie można się dogadać. A nas czas goni. Bo z tym Szerokim przybędzie tu inspektor Wąski, a wie pani, co on ze mną robi, jeśli się dowie, że nie rozwiązałem sprawy przed wigilią?
- Mogę się tylko domyślać – odszepnęłam, a do Uważnego powiedziałam: – Jak sądzę, moi koledzy mogliby pana poratować. Mają doświadczenie w graniu dobrego i złego policjanta wyniesione z... dyskusyjnego klubu filmowego.
- Naprawdę? – Niby-komisarz spojrział z nadzieją na Koniecznego i Władka. – Zagrali byście parę policjantów?
- No nie wiem... – zaczął aspirant.
- Wie – przerwałam mu. – Zagrają i nauczą waszych aktorów, jak to robić, a potem pan powie im, jak wyeliminować niewinną osobę z dwóch podejrzanych.
- Drzwi otworzyły się i wszedł niski, siwiejący mężczyzna w szarym swetrze.
- Inżynier Szeroki – przedstawił się. – Chciałbym zerknąć na przygotowania, jeśli nie przeszkadzam. Mój przyjaciel dołączy do nas nie wcześniej niż za godzinę, jakaś pilna sprawa go zatrzymała. Ale poproszę, żeby panowie zaprezentowali coś już teraz.
- Uważny zbłądł. Potem słabo się uśmiechnął i nabrał powietrza w płuca.
- Ależ skąd, nie ma mowy o przeszkadzaniu. – Zamachał rękami w stronę Koniecznego i Władka. – Właśnie powtarzamy scenę przesłuchania.
- Chętnie popatrzę. – Szeroki uśmiechnął się.
- Gadaj, cwelu! – syknął Konieczny, popychając Uważnego na fotel. – Jeśli myślisz, że daliśmy się nabrać na twoje nędzne, wysrane z brudnego palucha bajeczki, to żyjesz w alternatywnej rzeczywistości.
- Żądam adwokata – pisał przesłuchiwany.
- Żądaj sobie, żądaj. – Aspirant uśmiechnął się zimno. – Ja ci go nawet narysuję. – Wyjął z kieszeni długopis, machnął na kartce figurkę ludzika jak do gry w wisielca i podsunął Uważnemu pod nos. – Wiesz, co teraz zrobię z twoim adwokatem? Zjem go na drugie śniadanie.
- Podarł kartkę, wetknął sobie do ust, przeżuł i połknął. Byłam pod wrażeniem jego umiejętności aktorskich.
- Gadaj, inaczej już po tobie! Wiesz, co robią z takimi jak ty w zakładzie karnym w Barczewie?
- N-n-nie wiem – wyjąkał mężczyzna.
- To sobie wyobraź: pięćdziesięciu chłopca, każdy napakowany i wytatuowany, widzi takiego chuchraka i aż go ręce świerzbiją, żeby mu wsadzić głowę pod wodę i zobaczyć, kiedy przestanie fikać.
- Uważny pobladł jeszcze bardziej i obliznął spierzchnięte wargi. Też nieźle by sobie poradził na scenie.
- Panie komisarzy, może jednak nie do Barczewa – zauważył Władek. – Tam go zabiją pierwszego dnia. Może do Strzelina?
- Tak, do Strzelina, proszę – błagał przesłuchiwany.
- W Strzelinie niektóre chuchraki żyją nawet tydzień – zadumał się Władek.

Niby-komisarz wytrzeszczył oczy.

– Wiesz, ja ci dobrze życzę – westchnął podkomendny. – Masz kredyt na mieszkanie i działkę. Z czego żona będzie spłacać? Szkoda by było. No i dzieciaki. Ile mają?

– Siedem i dziewięć – wyjąkał Uważny, przerażony.

– No właśnie. Po co im mówić, że tata siedzi, ale właściwie to już nie siedzi, tylko leży, bo go ukatrupili? Pękłoby mi serce, naprawdę – westchnął Władek.

– To ja już wszystko powiem – obiecał niby-komisarz.

– Brawo, brawo! – Szeroki zamasyście zaklaskał w dłonie. – Panowie powinni być prawdziwymi policjantami – zwrócił się do Koniecznego i Władka. – Zwłaszcza pan. – Spojrzał na podkomendnego. – Ma pan naturalny talent. Mógłby pan nawet zagrać inspektora. Ale pan też był niezły. – Skinął na aspiranta. – Zwłaszcza kiedy pan szarżował z tym zakładem karnym, że osadzony zginie pierwszego dnia.

– W Barczewie naprawdę by zginął. – Konieczny rozłożył ręce. – Każdy to wie.

– Ech, panowie! – zaśmiał się Szeroki. – Zdradzę, że przyjaźnię się z pewnym wysoko postawionym policjantem, który ma zresztą dojechać do nas za godzinę. Wolałbym tu nie wymieniać nazwisk, to i tak nic by wam nie powiedziało. Niemniej on twierdzi, że takie patologie się nie zdarzają.

– Ależ tydzień temu zaciukali jednego maklera, co trafił do Barczewa. Tylko w papierach wpisali, że to był atak serca – wyjaśnił Władek.

– Coś podobnego – zdumiał się Szeroki. – Skąd ma pan te informacje?

– Z... z... dyskusyjnego klubu filmowego – wtrącił aspirant.

– Ach, no tak. To właśnie różnica między prawdą czasu a prawdą ekranu – ucieszył się Szeroki. – Skąd ich wytrzasnąłeś? – zapytał Uważnego.

– Z dyskusyjnego klubu filmowego – wyszeptał niby-komisarz. Jego twarz była popielata.

– I to lubię! – Szeroki zatarł ręce. – Zawsze powtarzam: „Kiedy masz w ręku błotki, poszukaj asów”. Dobra robota.

– Dobra robota? – powtórzył słabo Uważny.

– Tak trzymać. Muszę lecieć. Wpadniemy tu jeszcze później z moim przyjacielem. A państwu życzę wesołych świąt.

Inżynier uklonił się w naszą stronę, machnął niby-komisarzowi ręką i wyszedł.

Uważny siedział na krześle, patrząc na nas oglupiały.

– Powiedział „dobra robota”? – spytał. – Do tej pory tylko raz mu się to zdarzyło. Trzy lata temu.

Rozdział 22

– Ale wracając do sedna – indagował Konieczny – jak wykluczacie jedną podejrzaną osobę z dwóch?

– O, to bardzo proste. – Uważnemu powróciły już na twarz normalne kolory i uśmiech. – Śledzimy je.

– Co takiego? – zapytał aspirant z niedowierzaniem.

– Nasz dział kreacji doszedł do wniosku, że to najlepsze rozwiązanie. A przy tym uklon w stronę klasycznego kryminału. Obie podejrzane osoby są puszczane wolno, ale uczestnicy śledzą ich poczynania. Wcześniej czy później morderca popełnia błąd.

– Tak. Oczywiście. Błąd. – Konieczny palnął się w czoło. – Musimy lecieć.

Przez całą drogę do domu influencerów (na szczęście była niedługa) nie przestawał mówić, w jaki sposób zamierza przyłapać winną.

– Morderca, pani Lucjo, zawsze popełnia błąd – powtarzał raz po raz.

– Tak mawia inspektor Wąski? – wysunęłam przypuszczenie.

– Właśnie. – Aspirant spojrzął na mnie z uznaniem. – Jeśli dostatecznie długo będziemy obserwować mordercę, w końcu się zdradzi i zdobędziemy dowody. Czemu pani tak na mnie patrzy?

– Zaniepokoiły mnie słowa „dostatecznie długo” – wyjaśniłam.

– Inspektor Wąski mawia: „Czyń swoje i oczekuj końca”. – Konieczny beztrzesko machnął ręką.

– Ale do tego końca mamy czterdzieści pięć minut – wyraziłam swoją wątpliwość. – A potem, z tego, co zrozumiałam, inspektor Wąski pojawi się tu we własnej osobie i pana zamknie. Władka też.

Niewiele rzeczy mnie dziwi, ale aspirantowi tym razem udało się ta sztuka. Bo zbagatelizował zbliżający się przyjazd szefa.

– Przez czterdzieści pięć minut Napoleon zdążył przegrać pod Waterloo – poinformował mnie lekkim głosem.

Miał rację. I to mnie właśnie niepokoiło.

W domu natychmiast udał się do jadalni, gdzie influencerzy wciąż nudzili się jak mopsy, a operator to nagrywał.

– Robimy challenge „Nudna Wigilia” – powiedział Żrekotek. – Ale jeszcze zastanawiamy się nad tytułem, bo może pójdzie: „Święta są do dupy”.

Konieczny machnął tylko na niego ręką i popatrzył na dwie influencerki.

– Pani Wilczyco, pani Czerwona Ka, właśnie dostałem informację z Ministerstwa Policji, że mogą panie wyjść na czterdzieści pięć minut pozałatwiać swoje sprawy – oznajmił.

– Ale... – zaczęła Wilczyca.

– Czterdzieści cztery. – Aspirant zmarszczył brwi.

– A reszta? – Pan Zdziwko poderwał się z krzesła.

– Reszta siedzi – warknął Konieczny.

– I cieszy się, że przy stole, a nie w areszcie – dodał filozoficznie Władek.

Pan Zdziwko i Żrekotek posmutnieli, a obie dziewczyny przemknęły obok nas do wyjścia.

– Ministerstwo Policji? – zapytałam szeptem.

– Gdyby potem coś mówiły, że pozwoliłem wyjść podejrzanym, będą twierdzić, że zezwoliło na to Ministerstwo Policji. Nawet Łomiarz z Sokołowa dał się na to nabrać. – Konieczny wprowadził mnie w tajniki swojego diabelskiego planu.

– Czas na nas – mruknął wąsaty mężczyzna w prochowcu, rogowych okularach i borsalino, który pojawił się znikąd. Poprawił rondo kapelusza i ruszył za influencerkami. Aspirant pochwycił moje spojrzenie.

– Władek uwielbia pracę w terenie.

– A pan? – Spojrzałam na niego pytająco. Obie dziewczyny zniknęły już za drzwiami.

– Ja... – zająknął się. – Wolę pracę koncepcyjną.

– Władek się nie rozdzieli – zauważyłam.

– No dobrze, pani Lucjo – westchnął. – Otóż, niestety, byłem raz chory i nie mogłem wziąć udziału w szkoleniu *Podążanie za żywym celem w terenie zabudowanym z wykorzystaniem technik kamuflażu osobistego*.

– Może pan po prostu spacerować od niechcenia – zasugerowałam.

– A nie wybiera się pani przypadkiem na miasto? – chrząknął Konieczny. – Byłoby mi rażniej.

– Kamuflować się? – dokończyłam.

– Uchowaj Boże! – przeraził się. – Co by sobie moja żona pomyślała? Że się kamufluje z osobą płci niewątpliwie przeciwnej?

– Wystawię panu zaświadczenie na firmowym papierze, że kamuflowanie odbywało się w ramach współpracy czysto profesjonalnej – obiecałam.

– Posiada pani taki papier? – upewnił się.

Obrzuciłam go spojrzeniem zarezerwowanym dla tych, którzy zadają głupie pytania.

– Z odpowiednią pieczętką?

– Oczywiście.

– W takim razie ruszajmy!

Ustalił przez komórkę z Władkiem, że ten podąży za Czerwoną Ka, nam więc pozostała Wilczyca. Centrum handlowe, do którego poszła, znajdowało się tylko o kilka minut piechotą od domu influencerów. Do zamknięcia została godzina, więc zaludniali je samotni mężczyźni w średnim wieku, biegający z obłędem w oczach od sklepu do sklepu i usiłujący kupić wszystkie prezenty naraz. Mikołaj na scenie czekał na ostatnie zbłąkane dziecko, które chciałoby sobie zrobić z nim zdjęcie, a ekipa remontująca nieczynny sklep przy fontannie ustawiała już dekoracje na kolejne święta: wielkie jajka i zające.

– Wie pani, że oni te czekoladowe mikołaje, jak się nie sprzedadzą, przepakowują na króliki i odwrotnie? – mruknął Konieczny. – Człowiek sobie kupuje, nie patrzy, co gryzie, a tu zając.

– Tam też zając. – Wskazałam Śnieżynkę, której spod kostiumu wystawał futrzany kuper, a spod czerwonej czapeczki zajęcze uszy.

Wilczyca szła kilkanaście kroków przed nami. Nagle skręciła do kwaciarni.

– Bardzo ciekawe – burknął aspirant, zatrzymując się za filarem. – Nie uważa pani, że powinniśmy mieć dziecko?

Dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, jak zabrzmiało to zdanie, i poczerwieniał jak czapka Mikołaja.

– Oczywiście w innym sensie, nie potocznym, tylko kamufluującym.

– Zapewne – zgodziłam się. – Niemniej byłoby to trudne nawet dla mnie zdobyć w Wigilię dziecko do kamuflażu. Chyba że zamówiłby pan z wyprzedzeniem.

– No tak – westchnął Konieczny. – Co ona kupuje?

– O ile dobrze widzę, to gwiazdę betlejemską.

– Ach, co za koincydencja! – Aspirant zatarł dłoń. – Puzzle zaczynają się układać.

– Gwiazda jest puzzlem? – zainteresowałam się.

– Uczestniczyłem w kursie *Zabójcze cechy roślin jako przyczynek do metod usuwania zaszobów ludzkich* – wyjaśnił Konieczny. – Gwiazda betlejemska, inaczej poinsecja, gatunek

wilczomlec, jest rośliną trującą. Nie sądzi pani, że to zadziwiająca koincydencja, że nasza podejrzana kieruje pierwsze kroki w miejsce, gdzie może kupić silnie trującą roślinę?

– Wiele osób je kupuje w święta. Zapewne z powodu nazwy – zauważyłam.

– Przypadki nie istnieją – powiedział Konieczny z powagą.

– Tak twierdzi inspektor Wąski?

– Jest tego pewny. – Aspirant pokiwał głową. – Jak popracuje pani dłużej, dojdzie pani do tego samego wniosku.

Pracowałam długo i byłam zdania, że przypadki jak najbardziej istnieją, a nawet dominują w naszym życiu, ale zachowałam tę myśl dla siebie. Zwłaszcza że Konieczny zakamuflował się w dużej lokomotywie przeznaczonej dla dzieci (których jednak nie było).

Wilczyca wyszła z kwaciarni z doniczką, a my ruszyliśmy za nią.

– Nie sądzi pani, że powinienem kupić gazetę i udawać, że czytam? – zapytał nagle aspirant.

– Nie sądzę – odparłam. – Rzuciłby się pan w oczy o wiele bardziej niż bez gazety.

– Może to i prawda... – Zamyślił się. – Czyli jednak się rzucam?

– Nie ma pan żadnego prezentu – wyjaśniłam.

– No tak, a przecież miałem kupić – przypomniał sobie. – Pani Lucjo, doradzi mi coś pani? Coś dla kobiety w wieku trzydziestu kilku lat.

– Zależy, jak bliska znajomość pana z nią łączy.

– No dość bliska, taka bardziej małżeńska – chrząknął Konieczny.

– Może perfumy? – zasugerowałam.

– To ryzykowne – skrzywił się.

– W takim razie elegancka piżama?

– Jeszcze większe ryzyko. – Aspirant wyraźnie się wzdrygnął.

– Więc może kaszmirowy szal? – spróbowałam jeszcze raz.

– To wręcz bomba, która eksploduje – przyznał. – Pani Lucjo, obiekt wchodzi do sklepu ogrodniczego. Czy nie powinniśmy nadać jej jakiegoś zaszyfrowanego kodu?

– Sądzę, że wystarczy mówić „ona” – powiedziałam.

– Ona coś kupiła – ekscytował się Konieczny. – Niesie to. Coś długiego! Być może mogłaby ją pani potrącić, ta rzecz by upadła, ja bym ją złapał i odkrylibyśmy, co to takiego.

– Niezły plan, ale prościej będzie zapytać sprzedawcy – podsunęłam.

Ekspedient, najwyraźniej student, który dorabiał sobie do stypendium, sprawdzał coś w telefonie.

– Przepraszam, moja przyjaciółka właśnie przed chwilą kupiła u pana sprzęt ogrodniczy. Chciałabym taki sam. – Uśmiechnęłam się.

Student wyszczerzył do mnie zęby. Cóż, zawsze noszę do pracy w terenie bluzkę z guzikami przy dekolcie, a przed wejściem do sklepu rozpięłam trzy.

– A który model panią interesuje? – zapytał. – Mamy smukły szpadel „Poranna Rosa” oraz barczystą „Demeter”. Oba wykonane z najwyższej jakości brązu w prowadzonych od pokoleń szwajcarskich kuźniach rodzinnych.

– Tak, ale konkretnie to... – wszedł mu w słowo Konieczny.

– Nie wspominałem jeszcze nic o trzonkach. – Student nie dał sobie przerwać. – Drewno, z którego są zrobione, pochodzi z lasów na przedgórzu alpejskim. Zapewnia trwałość na całe dziesięciolecia.

– Wspaniale, ale trochę nam się spieszy. Chcemy to, co ta pani, na fakturę – rzucił aspirant.

– Czy wspominałem, że stop brązu i miedzi nawozi glebę i nie koliduje z naturalnym polem elektromagnetycznym? Zwykle szpadle kolidują – nawijał sprzedawca.

– Co ona wybrała? Gadaj! – wrzasnął Konieczny.

– „Poranną Rosę”, przecież właśnie o niej mówiłem. – W głosie studenta zabrzmiał wyrzut. – Tradycja szwajcarskich górali...

– Faktura – warknął aspirant.

– To będzie tysiąc dwieście pięćdziesiąt złotych z VAT-em. – Sprzedawca uśmiechnął się. – Zapakować na prezent?

– Czy pan oszalał? Szpadel za tysiąc dwieście pięćdziesiąt złotych? – Koniecznego aż zaskoczyło.

– Mamy w promocji grabki do grządek, również ze stopu brązu, które także nie kolidują z polem elektromagnetycznym – wyjaśnił chłopak. – Panie bardzo je sobie chwala. Podobno działają wybitnie uspokajająco nie tylko na glebę, ale i na ogrodniczkę.

– Działają uspokajająco, mówi pan. – Aspirant zmarszczył brwi i głęboko się zastanowił. – Też od tych szwajcarskich górali?

– Oczywiście. Dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć złotych. Są w promocji, jak mówiłem. Normalna cena to osiemset siedemdziesiąt.

– Poproszę – powiedział Konieczny, wciąż nie spuszczać wzroku z Wilczycy, która oglądała coś w witrynie po drugiej stronie alejki.

– Zapakować na prezent? – zapytał sprzedawca.

– Tak, poproszę – rzucił aspirant. – Pani Lucjo, kolejny puzzle trafił na swoje miejsce. Trująca roślina, szpadel. Rozumie pani, dokąd to wszystko zmierza? Co pan robi z tymi grabiami? – fuknął na studenta, który pakował zakup do drewnianej skrzynki.

– Chciał pan na prezent – usprawiedliwiał się chłopak.

– Dawaj pan te grabki i jakąś torebkę. Pani Lucjo, Wilczyca rusza dalej. Chodźmy.

Wyszliśmy, wtapiając się w tłum. Konieczny oglądał swój nabytek.

– Jak pani sądzi, pani Lucjo, czy trzydziestoparoletnia kobieta, z którą łączy mnie bliska relacja, będzie zadowolona z grabek, które... które robią coś z polem elektromagnetycznym?

Miałam swoje zdanie na ten temat, ale powstrzymałam się od jego wygłoszenia. To czasem najlepsze, co można zrobić.

Rozdział 23

- Czy pani ją widzi? – zapytał Konieczny z lekką paniką w głosie.
- Oczywiście – potwierdziłam. – Właśnie wychodzi ze sklepu AGD na drugiej. Aspirant zerknął na zegarek.
- Przecież już po piętna... – I wtedy zrozumiał. – A tak! – ucieszył się. – Co też ona tam kupiła?
- Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.
- Weszliśmy. Konieczny postanowił zastosować moją metodę z poprzedniego sklepu.
- Przed chwilą nasza przyjaciółka kupiła tu pewien przedmiot. Chciałbym nabyć to samo – powiedział do sprzedawcy.
- Oczywiście. – Mężczyzna uśmiechnął się. – Zapakować na prezent?
- Być może – zawałał się aspirant. – Najpierw jednak chciałbym poprosić o okazanie rzeczoności obiektu.
- Sprzedawca popatrzył na niego dziwnie, ale bez słowa zniknął na zapleczu i po chwili wrócił ze sporym dyskiem, który postawił przed Koniecznym na podłodze.
- Odkurzacz? – zapytał policjant z nutą rozczarowania w głosie.
- Proszę pana, astra 2 to nie odkurzacz, to styl życia – wyrecytował mężczyzna. – Proszę sobie wyobrazić: wychodzi pan do pracy, włącza to чудо i wraca do lśniaco czystego mieszkania.
- To jednak tylko odkurzacz – mruknął Konieczny.
- O nie, odkurza na mokro i na sucho, może pan zamordować teściową, włączyć astrę i gdy pan wróci, nie będzie śladu.
- Co pan powiedział? – Aspirant otworzył szeroko oczy.
- Żadnych śladów – potwierdził sprzedawca.
- A więc sprzedaje pan tu sprzęt do zacierania śladów przestępstwa? – oburzył się Konieczny.
- No skąd, tylko do zamordowania teściowej. To w końcu nie zbrodnia. – Mężczyzna puścił oko do aspiranta.
- I moja... przyjaciółka kupiła właśnie astrę?
- Powiedziała, że potrzebuje czegoś z górnej półki. – Sprzedawca pokiwał głową. – Zapewniłem ją, że nie pozostaną absolutnie żadne ślady. Wie pan, astra sprząta tak dokładnie, że usuwa nawet odciski palców oraz plamy z wina, buraków i krwi.
- Ach tak. – Konieczny uśmiechnął się. – Puzzle się ułożyły, pani Lucjo. Możemy wracać. Czy ten mężczyzna tam, na zewnątrz, to...?
- Przebrany Władek – potwierdziłam.
- Czy on...?
- Obawiam się, że ma pan rację.
- Władek, nadal w prochowcu i z przyklejonymi wąsami, stał przed witryną sklepu z dekoracjami okien i wymachiwał legitymacją policyjną.
- Natychmiast żądam, żeby wyżej wzmiankowane zasłony zdjąć z wystawy – groził. – Posłużą jako dowód w sprawie.
- Ale na tej legitymacji to nie pan. – Sprzedawczyni, tęga kobieta po czterdziestce, wzięła się pod boki. – Patrzeć tu takiego: kudłaty, wąsaty, a na zdjęciu inny. Każdy może powiedzieć, że to on.
- To ja, ale w kamuflażu – zirytował się Władek, usiłując oderwać wąsy.

– Pan czy nie pan, zasłon nie zdejmę. Zaraz zamykamy, a to dekoracja. Z wystawy nie sprzedajemy.

– Stanowczo żądam! – wrzasnął Władek.

– A ja stanowczo odmawiam – zirytowała się sprzedawczyni.

– Moment – wtrąciłam się do rozmowy. – Byłaby pani zainteresowana barterem?

– Czyli? – Spojrzała na mnie podejrzliwie. – A pani to kto?

– Kim ja jestem, to nieistotne. Natomiast ten pan to znany influencer, Chiliman – wyjaśniłam, wskazując na Władka. – Mógłby nagrać filmik o tych zasłonach. Miałaby pani tysiące polubień. Wie pani, jak by to wpłynęło na obroty sklepu? I to w sezonie wyprzedazowym, który przecież już zaraz.

– Mówił, że policjant – obruszyła się kobieta. – Jakby od razu normalnie powiedział, że influencer, tobym dała.

– Kręcił challenge i udawał policjanta w centrum handlowym przed wigilią – wyjaśniłam.

– No to nie bardzo mu się udało. – Sprzedawczyni wyjęła telefon i weszła na YouTube'a. – Rzeczywiście, Chiliman. Sześćset pięćdziesiąt siedem tysięcy wyświetleń. Naprawdę potrafi pan zjeść tyle ostrych hot dogów naraz?

– Jakoś sobie radzę – wyjaśnił skromnie Władek.

– Gdzie Czerwona Ka? – syknął do niego Konieczny.

– Eeeee... – Podkomendny rozejrzał się rozbieganym wzrokiem. – Śledziłem ją i śledziłem, aż nagle doszła do tego sklepu, a mnie wtedy olśniło. Na tej karteczce nie było napisane „zasuwy”. Chociaż zasuwę też na wszelki wypadek kupiłem – powiedział. – To były zasłony dla teściowej.

– A jakbym dała pościel, to nagrałby pan z nią filmik? – zapytała sprzedawczyni.

– No nie wiem – stropił się Władek.

– Zapakuję – zdecydowała kobieta.

– Ona gdzieś tu jest – tłumaczył się dalej podkomendny. – Ale kiedy pomyślałem o teściowej, która nie ma prezentu, to...

– To wybrałeś zasłony. – Konieczny pokiwał głową ze zrozumieniem. – Tym razem nie będzie nagany, bo sprawa jest... ten tego... życiowa. A puzzle i tak się ułożyły.

Rozdział 24

Zapewne nie znacie osobiście teściowej Władka. Ja też jej nie znam. Musi być to jednak kobieta niezwykła, pełna wszelkich cnót i wrodzonego heroizmu, a jednocześnie wzbudzająca szacunek i przestrach podwładnych. To jest rodziny. A zwłaszcza Władka. Dlatego nie zdziwiło mnie, gdy na parkingu przed centrum handlowym Władek nagle śmiertelnie zbladł.

– Zostawiliśmy przecież samochód w kolejce do myjni – wyjąkał.

– No i? – rzucił Konieczny niecierpliwie.

– To jej samochód. To znaczy teściów, ale bardziej jakby teściowej. A ona zaznaczyła przed wyjściem, że chyba w mig się uwinę.

– No i? – fuknął aspirant. – Chyba zrozumie, że prowadzimy tu sprawę o morderstwo.

Władek nerwowo przełknął ślinę i rozejrzał się bacznie dookoła, jakby podejrzewał, że teściowa czai się za którymś z zaparkowanych aut.

– Pan aspirant nie wie, co się dzieje, kiedy ona mówi z uśmiechem: „Chyba w mig się z tym uwiniesz” – powiedział ponurym tonem.

– A mówiła z uśmiechem? – spytał Konieczny.

– To właśnie jest najgorsze – mruknął Władek. – Ona zawsze tak mówi. Ale to jest taki uśmiech... bardzo terminalny.

– Przecież cię nie zabije i nie zje – rzucił aspirant.

Mina jego podwładnego sugerowała jednak, że nie jest tego taki pewien, a właściwie nie byłaby to nawet najgorsza opcja.

– W zesze święta, kiedy przyjechaliśmy, też się uśmiechnęła tym terminalnym uśmiechem i powiedziała: „W wannie pływają karpie, w mig się z tym uwiniesz”.

– I co? – zapytał Konieczny.

– Dała mi młotek. – Władek przełknął ślinę. – Siedziałem w tej łazience godzinę, ale jednak nie mogłem się przemóc, więc poszedłem na spacer. Teściowa wpadła do środka, zobaczyła, że karpie w wannie nadal są żywe, i wyciągnęła telefon.

– Mogłeś powiedzieć, że masz pilną sprawę służbową – zauważył aspirant.

– Tak właśnie zrobiłem. – Władek zrobił się zielony. – A wtedy ona wykręciła numer do inspektora Wąskiego!

– Skąd miała jego prywatny numer? – Konieczny wyglądał na wstrząśniętego.

– Ona ma swoje sposoby – mruknął Władek. – W każdym razie pięć minut później zadzwoniła jego sekretarka i kazała mi załatwić tę sprawę. Dodała, że inspektor oczekuje, że w mig się uwinę.

– Och – bąknął aspirant.

Władek zamilkł wymownie.

– Jedziemy na myjnię – zdecydował jego szef.

Ta na szczęście była oddalona tylko o kilkaset metrów. Nie wiem, gdzie myjcie swoje samochody, zakładam jednak, że nie zbiera się wtedy w okolicy tłum ludzi wydających głośne okrzyki. A tak właśnie wyglądała myjnia, w której Władek zostawił samochód teściowej.

– Żle się zapowiada – szepnął podkomendny, zieleniejąc jeszcze bardziej, co wydawało się niemożliwe.

Konieczny zaparkował kilkadziesiąt metrów dalej.

– Pani Lucjo, trzeba będzie zrobić rozpoznanie terenu. Jeżeli jednak moje podejrzania są słuszne, teściowa Władka już tam jest. A jeśli tak, rozpozna nas. A jeśli nas rozpozna... – Zawiesił głos.

– Władek mógłby znowu założyć perukę, wąsy i okulary – zaproponowałam. – Natomiast dla pana mam kostium Mikołaja. – Podałam mu pakunek i, uprzedzając nieuniknione protesty, dodałam: – Chyba że woli pan konfrontację oko w oko.

– Mądry funkcjonariusz odwleka ją do momentu, kiedy nadciągną posiłki i zyska przewagę liczebną – zacytował Konieczny i założył czapkę i sztuczną brodę Mikołaja.

– Inspektor Wąski? – zapytałam dla porządku.

– Dokładnie. – Aspirant pokiwał głową, wkładając czerwony kubrak ze sztucznym brzuchem. Wyglądał jak wykapany Mikołaj.

– Ani słowa! – Pogroził palcem mnie i Władkowi, któremu i tak nie było do śmiechu. – Inspektor Wąski pewnego razu przebrał się za pastereczkę, żeby na przedstawieniu teatralnym schwytać Motkarza z Parczewa. I mimo że zakuł go w kajdanki jako pastereczka, Młotkarz wcale się nie śmiał.

Panowie zakończyli kamuflowanie się i podeszliśmy do grupy kilkunastu mężczyzn. Wtedy sytuacja stała się jasna.

Teściowa Władka, postawna kobieta w rudej trwałej i czarnym futrze, tkwiła za kierownicą samochodu. Trzech mężczyzn usiłowało wyciągnąć ją z auta, a ona nimi komenderowała. Jeśli można tak nazwać nieprzerwany potok słów: „Nie tak, mocniej, nie w tę stronę, co pan wyprawia, ależ z pana niezgrabiasz, w lewo, w lewo, mówię, czy ja mówię niewyraźnie?, pan stoi, pan trzyma, pan ciągnie”. Czwarty mężczyzna otworzył prawe drzwi i usiłował ją wypchnąć, gdy pozostali ciągnęli, ale to też nie przyniosło żadnego efektu.

Po cichu przycisnęliśmy się do drugiego rzędu. Na pierwszy rzut oka teściowa, osoba słusznych rozmiarów, zaklinała się po prostu między kierownicą a fotelem. Ale drugi rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że problem leży gdzie indziej. Tylna część teściowej najwyraźniej była na stałe przymocowana do fotela samochodu. A ręka kobiety, spoczywająca na kierownicy, również nie mogła się od niej odzepić. Oddałabym znaczną część mojego absurdalnie wysokiego honorarium za to, że to była sprawka Żrekotka i jego niezwykłego kleju.

Władek chłonał widowisko w milczeniu, ale po chwili na jego twarz wypłynął błogi uśmiech.

– Pani Lucjo, ten klej jest bardzo mocny, prawda?

– Bardzo – potwierdziłam.

– To dobrze – westchnął uszczęśliwiony.

Chciałam go o coś zapytać, ale kiedy zobaczyłam, jak jest rozanielony, postanowiłam zachować milczenie. Wiecie, chwile prawdziwego szczęścia są tak rzadkie. Przecież mamy święta. Po co je niszczyć pytaniem, czy to futro jest z prawdziwych karakułów (byłam pewna, że tak) i co zrobi teściowa, kiedy się okaże, że trzeba ją wyciąć z futra. Na wszystkie te pytania i, co ważniejsze, odpowiedzi Władka przyjdzie czas później.

Rozdział 25

Wysiedliśmy przed domem influencerów. Wszędzie jarzyły się choinki i grały kolędy. Konieczny ruszył do drzwi.

– Czas na wyjaśnienie tej historii – zapowiedział zdecydowanym tonem.

– Oczywiście, ale sugerowałabym, żeby zdjął pan strój Mikołaja – podsunęłam dyskretnie.

– A tak – zreflektował się, przyglądając się sobie ze zdziwieniem w lusterku samochodowym. Zerwał czerwony kubrak, czapkę i brodę, ale i tak musiał zostać w czerwonych spodniach.

– Panie aspirancie, chwileczkę. Melduję, że mam coś dla pana. – Władek stanął przed nim z paczuszką w kolorowym papierze w renifery. – Jest Wigilia, więc tak sobie pomyślałem... yyy... że to coś, z czego pan się ucieszy. Współpracujemy już długi czas, więc powzięłem przekonanie, że należy się panu aspirantowi prezent świąteczny. I oto on, proszę. – Po tym przydługim wstępie wręczył Koniecznemu paczuszkę.

– Prezent? – Brwi aspiranta powędrowały do góry. Wziął pakunek ostrożnie, jakby spodziewał się bomby, i rozwinął papier. Otworzył pudełko i zerknął do środka, szukając słów. – Ach. To bardzo piękny... piękny... Coś bardzo ładnego – dokończył.

Zajrzałam do pudełka. Wewnątrz znajdowała się metalowa skrzynka z przełącznikami i diodami oraz skalą.

– Pomyślałem, że przyda się panu do... mierzenia. – Władek uśmiechnął się.

– Ach, do mierzenia. No tak. – Konieczny chrząknął. – Ale czego?

– To mierzalnik – wyjaśnił podkomendny. – U nas we wsi robi je syn starego Majchrzaka. Na przykład to urządzenie może zmierzyć powłokę lakierniczą, poziom wilgotności i takie tam, ale poprosiłem kolegę, żeby dodał jeszcze mierzalnik ultrafioletowy. Powiedział, że żaden problem, o tu, to światelko i dźwigienka – dzięki temu wykrywa ślady krwi w promieniach ultrafioletowych.

– Genialne! – zachwycił się aspirant. – Nie trzeba będzie ściągać analizatora, zresztą i tak jest w naprawie.

– A mierzalniki Majchrzaka się nie terminują, działają całe lata na płaskie baterie – zapewnił Władek. – Już mu zapowiedziałem, że jak ten się terminuje, to mu ściągnę na głowę urząd skarbowy. Zarzekał się na Najświętszą Panią, że daje wieczystą gwarancję.

– Znaczą bez faktury je produkuje, na lewo... – zauważył Konieczny.

– A ten model ma jeszcze wbudowany moduł analizy włókien. – Władek chrząknął dyplomatycznie. – Na przykład wkładam to... – Wyszarpnął sobie nitkę ze swetra i wsunął w otwór mierzalnika. Ten zabuczał i zaczął analizować. – Jak błysnie sześć razy, znaczą wełna – wyjaśnił uradowany podkomendny.

Lampka zaczęła migać, czerwony wskaźnik zaświecił i zamigotał osiem razy.

– A to dziwne – zdumiał się Władek. – Teściowa, jak dawała mi ten sweter na urodziny, mówiła, że to czysta żywa wełna. A osiem razy to znaczą, że to jest... – Wyciągnął kartkę i poszukał w instrukcji. – Akryl – wymamrotał.

– Dziękuję. – Konieczny chrząknął. – Ja też pomyślałem o prezencie i... – Spojrzał na mnie, rozpaczliwie szukając pomocy.

Czy wspominałam o tym, że mam dobre serce?

– Aspirant przygotował panu niezwykle podarunek – powiedziałam do Władka.

– Naprawdę? – szepnęła rozanielony Władek.

– Naprawdę? – bąknął Konieczny.

– Naprawdę – potwierdziłam. – Otóż aspirant pamięta o tym, że wkłada pan wszystkie siły w rozwiązanie sprawy.

– Wkładał – potwierdził podkomendny.

– Dlatego postanowił, że to pan przedstawi zgromadzonym wyniki śledztwa i wskaże winną.

– Naprawdę? – ucieszył się Władek. – To zawsze było moje marzenie.

– Naprawdę? – mruknął Konieczny.

– Naprawdę. Długo pan myślał nad tym prezentem, prawda, panie aspirancie?

– No tak. Na szczęście wymyśliłem.

– Dziękuję, panie aspirancie! – Zachwycony Władek potrząsnął jego dłonią.

– Nie ma o czym mówić. – Jego szef machnął ręką. – Powtórzmy zatem, co i jak.

I wziął podkomendnego na stronę.

Weszłam do domu. Na mój widok cała grupa zerwała się od stołu.

– Pani Lucjo, wiadomo już, kto zabił? – wypytywali jak dzieci.

– My tu zaraz zrobimy rekonstrukcję zbrodni – cieszył się Żrekotek.

Nawet gdybym chciała coś im powiedzieć (a nie chciałam), nie zdążyłabym. Bo do jadalni wkroczył Władek.

– Proszę państwa, proszę zająć miejsca. Za chwilę ujawnię, kto popełnił tę zbrodnię – zaanonsował. – Pani Ciotka Klotka zamierzała wyrzucić kogoś z grupy. Ta osoba urucho-miła swój złowieszczy mózg do opracowania złowieszczego planu złowieszczej zbrodni.

– Myślę, że możemy darować sobie tę złowieszczość – syknął Konieczny.

– Podjęła więc złowieszcze działania, które poskutkowały terminacją życia wyżej wzmiankowanej Ciotki Klotki. – Władek udawał, że nie dosłyszał. – Można by zadać sobie pytanie, kim jest ta złowieszcza osoba... – Zawiesił głos. – W toku pracy operacyjnej wyeliminowaliśmy podejrzanych rodzaju męskiego, pozostały nam więc podejrzane damskie.

Wbił wzrok w dziewczynę przy stole.

– Jedna z tych podejrzanych rozpięła złowieszczą żyłkę na schodach, imaginując, że Ciotka Klotka się potknie i skręci sobie kark, co też się zdarzyło.

– Ja właśnie jestem tą kobietą! – zawołał Żrekotek, objawiając się przebrany w sukienkę, z blond peruką na głowie. – Rozpinam linkę.

– A ja zaraz zlecę na złamanie karku – zawiadomił Pan Zdziwko, również w sukience i peruce.

– Tą złowieszczą osobą, która potem kupowała sprzęty AGD służące do utylizacji przestępstwa, była...

– Czerwona Ka – weszłam mu w słowo. – To ją postanowiła usunąć Ciotka Klotka i to jej włos był zaplątany w żyłkę na schodach. Od razu widać, że to nie prawdziwy włos, tylko z peruki. A Wilczyca jest naturalną blondynką, natomiast Czerwona Ka nosi właśnie perukę.

– Czerwona Ka? – powiedzieli chórem Władek z Koniecznym.

– Chyba zmienię styl, pod tym czymś jest mi strasznie gorąco. – Influencerka zdjęła z głowy perukę. Jej prawdziwe włosy też były blond, ale obcięte na jeża. Moim zdaniem wyglądało to o niebo lepiej, ale nie pobierałam absurdalnie wysokiej gaży za porady mody. – A Ciotka Klotka strasznie się szarogęsiła. Pomyślałam sobie, że jak się wywali, to może jej przejdzie, ale się zabiła.

– Ha, Ciotka Klotka mówiła o kimś, kto się szarogęsi. Ale miała na myśli osobę, która używa tego słowa! – wykrzyknął Konieczny.

– Znaczą mamy aresztować obywatelkę w czerwonej czapeczce? – zmieształ się Władek.

– Tak! – huknął aspirant.

– A więc jest pani aresztowana za zabójstwo – oznajmił podkomendny grobowym głosem. Spojrzał na mnie rozkojarzony i zapytał cicho: – Jak ona się właściwie nazywa, ta

Czerwona Ka? Ale tak normalnie, po ludzku?

Rozdział 26

Ekipa techniczna fotografowała ciało Ciotki Klotki. Czerwona Ka odjechała radiowozem, a Konieczny z Władkiem siedzieli za stołem w jadalni.

– Nie mam jeszcze prezentu dla siebie! – Władek palnął się w czoło. – Teść dał mi pieniądze, żebym sobie coś kupił. Zabije mnie, jak wrócę z niczym.

– To może wybierze pan buteleczkę z naszego barku? – zaproponował Żrekotek. – Tamte drzwi.

„Barek” to nie było dobre słowo, lepszym byłby „bar”. Za drzwiami stały skrzynki whisky, rumu, koniaku i innych trunków zajmujące niemal cały pokój.

– Firmy nam przysyłają, żeby pokazać je w filmikach, ale nie ma jak, bo to alkohol – wyjaśnił Żrekotek. – Ale może jakaś butelka nadałaby się na prezent?

– Władek nie pije – powiedział Konieczny. – Polska policja nie używa alkoholu.

– Nawet po pracy? – jęknął jego podwładny, patrząc z rozpaczą na zgromadzone dobra.

– Nawet po pracy – stwierdził twardo aspirant.

– To dla teścia pan weźmie, żeby się nie zmarnowało. Może ta? – Żrekotek podał Władkowi butelkę dwudziestoczworoletniej whisky. – Słodowa czy mieszana?

– Ta duża. – Władek wskazał palcem. – Będzie dobra.

– A dla pana może jakieś ubranie? – zaproponowała Joanna Zaraz. – Piżamę? Mamy ich ze dwieście. – Zaprowadziła nas do kolejnego pokoju. – Panu może też się przyda? – zapytała Koniecznego.

– Moja żona mogłaby błędnie uznać, że to prezent od kobiety – wykręcił się aspirant.

– To może komplet bielizny? Albo zasłony? Lub futro?

– Macie futra? – Władek zastrzygł uszami. – Z karakułów też? Takie w rozmiarze... tę gim?

– Mamy, ale chyba trzeba je będzie wyrzucić – westchnęła menedżerka. – Nikt nie chce już chodzić w futrach, widzowie się burzą, że nie jesteśmy ekologiczni.

– Znam jedną osobę, która chodzi... – zaczął Władek.

– To niech pan sobie coś wybierze. – Joanna Zaraz gestem zaprosiła go do środka.

Wysłałam na ganek. Było już ciemno. Na niebie świeciła pierwsza gwiazdka.

– Na pewno nie poczeka pani na inspektora Wąskiego? Będzie lada chwila – zapytał Konieczny. – Ekipa sprawdzi tylko jeszcze dom na okoliczność występowania powierzchni przylepnych.

Pokręciłam głową.

– Niestety nie mogę.

– Miło z pani strony, że zauważyła pani ten... eeeee... włos. – Aspirant chrząknął. – Mogłyby wyniknąć komplikacje, gdybyśmy aresztowali niewłaściwą osobę. Choć ta cała Wilczyca od początku nie pasowała mi psychologicznie do roli zabójczyni.

Dyplomatycznie postanowiłam nie komentować.

– To taki prezent gwiazdkowy. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Morderczyni na talerzu.

– My też mamy, oczywiście, prezenty dla pani – powiedział Konieczny i wręczył mi pudełko.

– A to ode mnie. – Władek dał mi kolejną paczkę.

– Jak miło – ucieszyłam się. – Mogę otworzyć?

Skinęli głowami.

– To... pościel. – Otworzyłam pierwsze pudło. – Bardzo luksusowa. Na wielkie łóżko.

– Z początku chcieliśmy ofiarować pani piżamę bądź futro – zaczął Konieczny – ale wiedziła nas niepokojąca myśl, że jest pani kobietą. I gdyby nasze żony dowiedziały się, że obdarowujemy inne kobiety piżamami i futrami, mogłyby dojść do całkiem mylnych konkluzji.

– Stąd pościel – wydedukowałam. – I coś jeszcze?

– Tak, grabki – dodał aspirant. – Znakomite. Z brązu. Żona dostanie jednak piżamę.

– A grabki są bezpieczne jako prezent dla niespokrewnionej kobiety – domyśliłam się.

– Właśnie – odetchnął. – Cieszę się, że pani rozumie. I wesołych świąt, pani Lucjo, od całej polskiej policji.

Zeszłam powoli po schodach. Powietrze było zimne. Może jednak będziemy mieli śnieg na święta.

Już sięgałam do klamki mustanga, kiedy zadzwonił telefon.

– Pani Lucja Słotka? – usłyszałam.

– Lucja.

– Mam dla pani zlecenie...

KONIEC

Lucja Słotka powróci...